Nr. 8. Warszawa, dnia 24 (12) Lutego 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SPRAWY CZESKIE.

Telegraf przynosi nam dwie ważne wiadomości z Pragi czeskiej: z 77 oskarżonych w procesie „Omladiny“ sąd skazał 7 za zdradę stanu, obrazę majestatu i należenie do tajnych stowarzyszeń na więzienie od lat 2 do 8, innych zaś na areszty; secesyoniści z grupy większej własności wydali odezwę, w której wbrew dawniejszym towarzyszom swoim dowodzą, że nie dość stać przy programie, potrzeba jeszcze dążyć do urzeczywistnienia go. Zawieszenie broni w walce o program ludu czeskiego — według nich — nie da się niczem usprawiedliwić; dopóki Czechom nie zwrócą ich historycznego i przyrodzonego prawa, zawieszenie broni nie może wydać dobrych skutków.

Zastanówmy się nad temi doniesieniami.

A przedewszystkiem co to jest „Omladina“? Jest to stowarzyszenie tajne ludzi młodych, mających względem Austryi cele rewolucyjne i dążących do oderwania od niej Czech. Ścisłości tego określenia nie poręczamy, gdyż pomimo procesu, oskarżeń w sądzie i prasie oraz zeznań świadków — natura tego związku nie przedstawia się dosyć jasno. Pewne światło rzucił na niego jeden z posłów młodoszeskich w swej mowie sejmowej. Zastrzegł on z góry, że nie myśli bronić młodych ludzi, pociągniętych do odpowiedzialności za to, że rozbijali szyby, rozrzucali po ulicach świstki, obrażające monarchę austryackiego, obmazywali błotem orły cesarskie itp. Ale — zdaniem mówcy — prokuratorya wrzuciła w jeden worek zwyczajnych łobuzów, którym nadała znaczenie bohaterów politycznych, z przedstawicielami nowych prądów śród młodzieży czeskiej. Na barki tych ostatnich zwalono winy uliczników i półgłówków, ażeby tym sposobem zdyskredytować i zniesławić żywioł opozycyjny. Żywioł ten — jako dalsze zróżniczkowanie stronnictwa młodoczeskiego — dopiero się rodzi. Przed związaniem go ze sprawą „Omladiny“ stanowił on mieszaninę najrozmaitszych pierwiastków. Zaprowadzony stan oblężenia nie pozwolił tej partyi uorganizować się należycie i odłączyć od tych mętów ulicznych, które zapomocą awantur i skandalów chciały dowieść, że są przodownikami obozu postępowego. Stronnictwo młodoczeskie nie weszłoby w stosunki z tym nowym obozem, dopóki on nie wykluczyłby ze swego łona owych narwańców i łobuzów.

A zatem, według powyższego wywodu, „Omladina“ była dotąd zlepkiem różnorodnych pierwiastków, w którym przedstawiciele nowego prądu — „postępowego“ zmieszali się z kanalią i nie mieli ani czasu, ani możności tego błota wyszlamować i wyrzucić, rząd zaś procesem sądowym usiłował te odmienne żywioły stopić w jeden, napiętnować go moralnie, ukarać prawnie i powstrzymać w rozwoju. Nie badając tego — bo nam brak danych — czy powyższy wykład nie jest zaprawiony farbami adwokackiemi, czy rdzeń „Omladiny“ był zdrowy, czy zepsuty i który pod jej nazwą dalej się utrzyma, zaznaczamy tylko niewątpliwy a ważny fakt, że suma pierwiastków opozycyjno - rozkładowych w Czechach powiększyła się o jeden nowy, który dopiero powstał, oczyszcza się i wejdzie w przymierze z młodoczechami. Ten przyrost nie cieszy rządu austryackiego.

Jak świadczy drugi telegram, śród przedstawicieli większej własności ziemskiej zrodziło się odszczepieństwo, które wraz z innemi stronnictwami postanowiło walczyć „o przyrodzone i historyczne prawa narodu.“ Ten rozdźwięk w harmonii odłamu konserwatywnego jest tem bardziej nieprzyjemny dla „szlachty historycznej,“ że ona na posiedzeniach świeżo zamkniętego sejmu przez usta swych mówców wygłosiła hasła lojalności.

Jeżeli do dawnych żywiołów opozycyjnych dodamy nowe, to wypadnie nam tak wielka ich przewaga nad przyjaciołmi rządu, że uznać można prawie całe Czechy za kraj zbuntowany przeciwko obecnemu stosunkowi do Austryi. Ministeryum koalicyjne policzyło to za dobry dla siebie objaw i wróżbę, że tegoroczne posiedzenie sejmu prazkiego przeszło spokojnie, podczas gdy przeszłe zakończyło się gorszącą burzą. Jest to wszakże zadowolenie bardzo nikłe. Kogo bowiem nie łudzą pozory, ten widzi, że gabinet hr. Windischgrätza stanie wobec daleko większego oporu w Czechach, niż gabinet hr. Taaffego. Proces „Omladiny“ tego oporu nie złamie, owszem go wzmocni. Maluczko a przekonamy się o tem dowodnie. Jeżeli zatem nowy sternik nawy austryackiej i jego towarzysze mniemają, że udało im się uspokoić namiętności i nie ściągną na siebie uraganów, to przedwcześnie sięgają po wawrzyny, którymi już nie mógł ozdobić swego czoła w ostatnich latach hr. Taaffe. Stoi on na boku z ironicznym uśmiechem i czeka — może powrotu do władzy, a może tylko chwili, w której będzie mógł zawołać do swych następców: widzicie, że to nie tak łatwa żegluga, jak wam się zdawało.

Młodoczesi nie ukończyli swych Tyrteuszowych pieśni w sejmie prazkim. Tam odegrali tylko uwerturę, a właściwe śpiewy wykonają w wiedeńskiej Radzie państwa, która właśnie otworzyła swoje obrady. Z tej sceny usłyszymy ich arye, grzmiące gniewem, skargą i groźbami.

LEON GAMBETTA.

A. Tournier: Gambetta. Souvenirs. Paryż 1894.

Po starych ulicach Cahorsu, miasteczka położonego nad Lotem, dopływem Garonny, po placach owianych wonią geranii i werbeny uganiał się wśród towarzyszów chłopczyna rodziców niezamożnych, włoskiego pochodzenia. Ojciec trzymał sklep „pod bazarem genueńskim,“ matka, córka aptekarza z Caussade, należała do drobnego mieszczaństwa. Syn, ilekroć udało mu się wymknąć ze szkoły, bił się z chłopakami, albo biegł nad błotnistą rzekę, gdzie skały opuszczały się stromo do wody i widać było w oddali rysujące się miasto ze starą olbrzymią wieżą papieską, z kościołem Cordelierów, mostem Valentré i wysokimi domami, zdobnymi w tarasy, ocienione dzikiem winem lub rozłożystymi platanami.

Oddany w dziesiątym roku życia do seminaryum w Montfaucon, nie mógł nagiąć się do karności księżej. Zagroził rodzicom, że wyjmie sobie jedyne lewe oko — prawe stracił bawiąc się z kolegą, chłopakiem nożownika — jeśli go nie odbiorą. Nie chciał uczyć się i marzył o zostaniu majtkiem. Lecz usłyszawszy pewnego razu w sądzie miejscowym mowę obrońcy, zmienił chęci i oświadczył, że będzie adwokatem.

Od tych to dni dziecięcych rozpoczyna „Wspomnienia o Gambecie“ Albert Tournier, przyjaciel i były sekretarz francuskiego męża stanu. Oświetla on głównie lata nieznane Gambetty, młodość, początki karyery adwokacko-politycznej. Do czternastu tomów mów i rozproszonych materyałów biograficznych książka Tourniera stanowi cenne uzupełnienie.

Po skończeniu gimnazyum w Cahors udał się młody Leon do Paryża. Tu nie opływał w dostatki. Broszura Ludwika Ariste'a, wydana w r. 1869 p. t. „Nowi ludzie“ (Hommes nouveaux) zawiera list, pisany wówczas przez przyszłego prezydenta ministrów do ojca:

„Mieszkam wspaniale i tanio — donosi. Tak, drogi ojcze. Zapomniałem Ci powiedzieć, że mam zwierciadło i czerwone firanki w oknach, co dodaje tyleż światła izbie, ile kołpaczek do gaszenia łojówek. Zapomniałem także wspomnieć o pysznym stole na kółkach; niestety, brak mu jednej nogi — to daje mi sposobność rozwiązywania najzawilszych zagadnień równowagi. Konieczny to sprzęt, bez niego zmarzłbym: ustawiając go jako tako do poziomu, morduję się, że aż pot cieeze.

Nad stołem zawieszony jest obraz pędzla niejakiego kaprala z 3-go regimentu inżynierskiego, 3-go batalionu, 7-ej kompanii. Jak głosi podpis, przedstawia nimfę. Bez podpisu mógłbym wziąć go np. za reprodukcyę pijanego kowala, rozciągniętego na ziemi.

Najstraszniejszy dział bytu stanowi jedzenie i picie. Śniadam obficie — trudno obficiej — chlebek za su. W niedzielę dwa chlebki susowe. Budzę się o szóstej rano, ale ze względu na świeżość temperatury, wstaję o jedenastej. Piję szklankę wody i do $4\frac{1}{2}$ słucham wykładów. O 5-ej obiad, kosztuje 17, 18, 20 su. Po godzinie znowu chlebek i piję ostatnią szklankę wody.“

Czuć może w tym liście nieco przesady humorystycznej, ale życie młodego człowieka oddane wiernie. W biedzie pracuje nad sobą, nieprzygnębiony.

Nie zamyka się w ciasnem kole formuł prawniczych. Kawiarnie Procope i Voltaire rozbrzmiewają często jego silnym głosem. Recytuje wiersze, przedrzeźnia adwokatów rządowych, miewa mowy na temat dowolny. Pewnego wieczora zakłada się, że będzie mówił pół godziny — o kluczach. I rozpoczyna od usług, jakie oddają klucze śpiewaczce, Mimi Pinson, gdy otwiera swój buduar, bankierowi wygarniającemu pieniądze, a kończy na kluczach systematów filozoficznych, kluczu św. Piotra i Dardanelach, jako kluczu do państwa tureckiego.

Już na uniwersytecie był Gambetta kilkakrotnie rzecznikiem spraw młodzieży. Ongi w szopie na ulicy Mazarine układali studenci wezwania, aby domagać się jawności posiedzeń ciała prawodawczego. Gambetta zajmował się gorąco tą sprawą i wręczył później odnośną petycyę prezydentowi Morny. W początkach karyery adwokackiej miewał sprawy przeważnie banalne, lecz okoliczności i temperament skierowały go szybko na tor polityczny.

Jakby zapowiedzią był pierwszy prowadzony przezeń wmarcu 1862 proces Ludwika Buette.

Dwudziestoletni podmajstrzy, wykarmiony mlekiem legend republikańskich (dziadkowie jego walczyli pod Hochem, Marceau, Kleberem), uknuł spisek.

Drugiego marca 1862 roku nocą, kiedy ośmiuset wtajemniczonych miało zebrać się przed Tuileryami, wedrzeć się na mury ogrodu, sprzątnąć straże, owładnąć osobą Napoleona III i ogłosić rzeczpospolitę, nie zjawił się nikt prócz niego i jego przyjaciela Ryszarda. Nazajutrz został uwięziony, a rodzina obawiając się gorącego jego temperamentu, zaczęła szukać dobrego obrońcy. Jules Favre dał adres Gambetty; dzięki temu proces wziął dobry obrót

— Mocno żałuję, że nie zatrzymałem pierwszej swej mowy — mówił trybun w dwadzieścia lat później. Pisma społeczne przytoczyły z niej tylko kilka wyjątków.

Jego imię i sławę ugruntowała jeszcze bardziej mowa w procesie Baudina. Grób wybitnego ludowca, poległego trzeciego grudnia 1851 r., zarastał chwastem. Nawet napis mech powlókł i nożem potrzeba go było odskrobywać. Wtedy *Réveil*, *Avenir National* i *Revue politique* otworzyły składki na pomnik. Wytoczono im proces.

Gambettę prosił o obronę Delescluze, redaktor pierwszego z pism. Szesnastego listopada dwudziestopięcioletni obrońca odniósł świetne zwycięstwo. Po trzech kwadransach mowy padł wysilony i spotniały. Pisma ogłosiły go za największego mówcę, a gdy wychodził na podwórze ochłodzić się, jeden z policyantów, pełniących służbę w sądzie, zaszedł mu drogę i prosił, aby okrył się przynajmniej jego kapotą, bo się przeziębi.

Mów późniejszych, zwłaszcza z świetnego dwunastolecia po wojnie francusko-pruskiej, Tournier nie rozpatruje. Są one wydrukowane oddzielnie, a pamięć ich we Francyi zbyt świeża, aby należało je przypominać.

Adwokaturę świetnie rozpoczętą, kształcącą w nim zalety, któremi miał zabłysnąć, szybko porzucił. W roku 1869 Marsylia i dzielnica paryska Belleville wysłały go do Izby posłów. Stąd idzie nowy okres.

W sympatycznem świetle przedstawiają go dwa rozdziały pracy Tourniera: Wspomnienia anegdotyczne i Gambetta, jako artysta. Pokazują człowieka, który jako student, deputowany, dyktator i naczelnik gabinetu pozostaje tym samym, wesołym, przystępnym, serdecznym. Nie nadyma się odziany w togę dostojnika, mówi po prostu, potrafi w stół uderzyć pięścią jak wtedy, kiedy nikt go nie znał i jadał obiady w taniej kuchni. Rozgniewany sroży się i dąsa, jak młodzieniaszek, na zarzuty odpowie nietylko argumentami, ale i humorem. Ilekroć wyjedzie za granicę, ogląda dzieła sztuki, z Brukseli, Rzymu donosi o wystawach artystycznych. Zna malarstwo włoskie, flamandzkie, angielskie, sympatyzuje z Milletem i młodymi. W Avray największą przyjemność sprawia mu obejrzenie willi Corota, ozdobionej włas-

---

2)

Gerhart Hauptmann.

Dróżnik Thiel.

Zegar ścienny, o długiem wahadle, i wyżółkłym cyferblacie, wskazywał trzy kwadranse na piątą, gdy Thiel odszedł. Maleńkiem, własnem czółnem przeprawił się przez rzekę. Na brzegu stawał kilka razy, nadsłuchując w stronę osady. Wreszcie skręcił w szeroką drogę leśną, a po krótkim czasie był już w pośrodku głośno szumiącej gęstwiny sosnowej, która bezmiarem igieł swoich podobną była do czarno-zielonego, kłębiącego się morza. Bez szelestu, jakby po pilśniu, stąpał po wilgotnym mchu i igłach na ziemi rozrzuconych. Znał drogę, nie patrząc, tu — poprzez rdzawo-brunatne słupy boru, tam dalej przez gęsto stojący młodrzew, dalej jeszcze przez rozległe zagajniki, leżące w cieniu kilku wysokich, smukłych sosen, które zachowano tu dla ochrony zwierzyny. Niebieskawy, przejrzysty, różnymi zapachami przesycony opar unosił się z ziemi, zamazując kształty drzew. Ciężkie, mleczne niebo zawisło nizko ponad wierzchołkami, wrony rojnie kąpały się jakby w szaryźnie powietrza, kracząc bezprzestannie; czarne kałuże wypełniały wgłębienia na drodze, odbijając chmurną naturę jeszcze chmurniej.

— Straszny czas — pomyślał Thiel, budząc się z głębokiej zadumy, spojrzawszy w górę.

Nagle jednak myśl jego zwróciła się gdzieindziej; czuł niewyraźnie, że zapomnieć musiał czegoś w domu i istotnie, przeszukując kieszenie, nie znalazł chleba z masłem, który z powodu długo trwającej służby zawsze zabierał. Przez chwilę wahał się, poczem odwrócił się szybko i pośpieszył w stronę wioski.

Wkrótce był już przy rzece, kilku silnemi uderzeniami wiosła przybił do przeciwległego brzegu i spocony na całem ciele wszedł na lekko wznoszącą się drogę wioskową. Stary, zniszczony pudel kramarza leżał wpośrodku ścieżki, na płocie jakiegoś dworku siedziała wrona, rozwinęła skrzydła, otrząsnęła się, kiwnęła główką, wyrzuciła z siebie rozdzierające uszy „kra,“ „kra“ i wzniosła się świszczącym lotem, pędząc za wiatrem w kierunku ku lasowi.

Z mieszkańców małej osady, a więc z dwudziestu może rybaków i drwalów z rodzinami, nikogo widać nie było.

Odgłos jakiegoś piskliwego głosu wpadł w tę ciszę tak dobitnie i zgrzytliwie, że dróżnik mimowoli biedz przestał. Potok gwałtownie wyrzucanych, przykrych dźwięków odbił się o jego uszy; dźwięki te zdawały się płynąć z otwartego okna pewnego niskiego domku, który znał aż nadto dobrze.

Tłumiąc szelest swoich kroków, przysunął się bliżej i wyraźnie już poznał głos żony. Jeszcze trochę bliżej — a słyszał wyraźnie wszystkie prawie jej słowa.

— Ty łotrze, bez litości, bez serca, więc ten nędzny robaczek płuca ma sobie wykrzyczeć z głodu? co? No, poczekaj, poczekaj, nauczę ja ciebie uważać! Popamiętasz!

Przez kilka chwil było cicho, potem rozległo się coś, jakby trzepanie ubrania, poczem bezpośrednio spadł znowu grad wymysłów.

— Ty nędzny smarkaczu — zagrzmiało znowu w najszybszem tempie — myślisz, że rodzonemu dziecku dam się zagłodzić dla takiej, jak ty, szmaty! Milcz! — zahu-

noręcznie przez wielkiego malarza. Potrafi wskazać najlepsze wydania Shakespeare'a w oryginale, odczuje piękno romancy Schumanna. „Nie śpiewaj z takiem przejęciem „Dwóch grenadyerów“ — mówił do Boudoresque'a z Opery — zrobisz z nas wszystkich bonapartystów.“

„Przez wązkie uliczki starej Nicy dostałem się na cmentarz zamkowy. Obrzuciłem okiem nową część grodu i opuszczoną. Potem zatrzymałem się w katedrze, wzniesionej w stylu włoskim, krzyczącym i przeładowanym. Nareszcie stanąłem u zamku. Wspaniała roślinność kaktusów, oleandrów i palm.

Szukam oczyma pomnika, wielkiej płyty z nazwiskiem zmarłego. Jak piękny widok musi być z grobowca Gambetty! Błękitne morze, góry okalające Nicę, dalekie zarysy Korsyki.

Nie mogę znaleść... Wskazują mi — mogiłę usypaną między dwoma mauzoleami, nie duży fałd ziemi. Jakby grobek dziecka, A położenie? Rzędy grobów, smutek cmentarza i tylko po prawej ręce szereg cyprysów i modrzewi nieruchomych.

Dziwna, że ani miastu, ani deputowanym Nicy nie przyjdzie na myśl, dać inne schronienie ciału wybitnego męża. Gdyby nie medalion ciotki Massabie, wspomnienie czasów promiennych młodości, opuszczałbyś cmentarz Nicy ze smutkiem w duszy, jak opuszczasz je z przygnębieniem i poniżeniem patryotycznem.“

W. Bugiel.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Znowu zamach w Paryżu. W chwili gdy policya przypuszczała, że już wyłowiła główniejszych anarchistów, przybył do hotelu (garni) jakiś młody człowiek, który zająwszy pokój, wkrótce go opuścił i nie powrócił. Gdy otworzono drzwi, nastąpił wybuch bomby, zawieszonej na sznurkach w ten sposób, że ona przy ruchu drzwi musiała pęknąć i nabity pocisk zrzucić na podłogę. Ponieważ kilku komisarzów policyi bezimiennymi listami zwabiono na oznaczoną godzinę do zrewidowania tego pokoju, więc plan sprawcy zamachu odgadnąć łatwo: przypuszczał on, że kilku ludzi wejdzie odrazu do pokoju, gdzie bomba spadnie i wybuchnie. Tak się stało, chociaż nikt nie postradał życia, tylko gospodyni domu uległa skaleczeniu.

Jest już dziś faktem stwierdzonym, że anarchiści skupili się w Anglii, gdzie wyrabiają bomby i przyjeżdżają z niemi do Francyi. Wobec tej tolerancyi ze strony władz angielskich, trudna jest obrona przeciw wspólnemu wrogowi—wspólnemu, gdyż pod murami obserwatorium w Greenwich znaleziono również jednego z anarchistów, zabitego przez bombę, która mu zawcześnie pękła i pozbawiła go życia. Zapytana Anglia odpowiedziała, że konstytucya nie pozwala jej na prześladowanie lub wydalanie anarchistów, chociaż rząd gotów jest wejść w tajemne porozumienie z sąsiadami dla udaremnienia zamachów i sprzysiężeń.

Osłodą śród tych kłopotów wewnętrznych jest dla Francyi wzięcie Timbuktu i wogóle powodzenie w Sudanie, skąd przychodzą coraz pomyślniejsze wieści.

Ażeby przypieczętować zgodę a może uzyskać pomoc Bismarka w sprawie traktatu rusko-niemieckiego, cesarz Wilhelm odwiedził b. kanclerza we Friedrichsruh. Skutki tej wizyty są już widoczne w zmianie tonu przybocznych organów „żelaznego księcia,“ które nagle zaczęły wygrywać melodye przyjazne temu układowi. Jeżeli traktat ów — powiadają one — jest ratunkiem dla naszego przemysłu, rolnictwo powinno zdobyć się na tę ofiarę, jakkolwiek ona jest ciężką i bolesną. Jeszcze przed miesiącem o tej ofierze nie chciały słyszeć i przepowiadały państwu zgubę. Wobec tej nowej pieśni projekt umowy celnej, który już odesłany został do sejmu, nie spotka tam zapewne zbyt wielkiego oporu.

Posiedzenia Izby włoskiej zostały otwarte. Wbrew pogłoskom, gazety dobrze poinformowane zapewniają, że Crispi jest zdrów. A wiele zdrowia mu potrzeba na to pierwsze spotkanie! Przez czas bowiem wakacyj parlamentarnych nazbierało się mnóstwo materyału łatwo zapalnego dla opozycyi, która go zechce zużytkować przeciw rządowi. Rozumie się, główną rolę w tej walce odegrają wypadki sycylijskie i inne zamieszki. Stronnictwo radykalne na osobnym wiecu ukuło broń przeciwko Crispiemu, zdaje się jednak, że tym razem utarczka będzie bardziej hałaśliwą, niż płodną w doniosłe następstwa. Rząd ma również przedstawić Izbie akty dyplomatyczne, dotyczące zajścia w Aigues-Mortes. I ta sprawa niezawodnie rozdrażni namiętności. Słowem, Crispi po powrocie do władzy będzie musiał wykąpać się w ukropie parlamentarnym. Całe szczęście, że on na takie kąpiele jest bardzo zahartowany.

Sejmy krajowe w Austryi ukończyły swoje czynności i uwolniły uwagę publiczną dla obrad parlamentu w Wiedniu i Poszcie. Pierwsza z tych Izb nie zapowiada spraw, wywołujących burze, natomiast węgierska obiecuje dużo starć i wrzawy.

Cesarz Franciszek Józef wybiera się z żoną na Rivierę. Rzadki to wypadek jego wyjazdu za granice państwa. Podobno prezydent Carnot kazał swemu ambasadorowi w Wiedniu oświadczyć, że z wielką radością powita monarchę austryackiego na swem terytoryum, chociaż on przyjedzie *incognito*.

BADANIA NAUKOWE.

SZTUKA LEKARSKA U LUDÓW PIERWOTNYCH.

(Dokończenie).

Potęga medyków jest bardzo wielka; ścisłe stosunki ze światem duchów obdarzają lekarza szczególnemi zdolnościami. Umieją oni sprowadzać życie i śmierć, a ta siła nadziemska staje się nieraz dla nich samych zabójczą. Pośród różnych ludów pierwotnych rozpowszechnione są najrozmaitsze pojęcia o nadprzyrodzonej potędze lekarzy, a ci ostatni starają się wszelkimi sposobami podtrzymywać tę wiarę u ludu. W Wiktoryi twierdzą oni, że znają wszelkie rzeczy nad i pod ziemią, że wszystko wiedzą i opisują nieraz, co w danej chwili się dzieje w jakiemś innem pokoleniu, o dziesiątki mil odległem. Indyanie pokolenia Meewoes w Kaliforni środkowej sądzą, że ich medycy mogą siadać na szczycie góry w odległości pięćdziesięciu mil od człowieka, którego chcą zabić, i w ten sposób sprowadzić jego śmierć, iż posyłają mu wierzchołkami palców truciznę magiczną. U indyan — Dacota lekarz, niemający przez dłuższy czas praktyki, doznaje bardzo wielu przykrości, ponieważ niepokoją go duchy. Ażeby je ułagodzić, bierze on od czasu do czasu nieco krwi z ramienia jakiejś osoby i wypija; nie dziw też, że spotkanie się z medykiem przestrasza często

---

czała, gdy rozległo się ciche jęczenie — albo dostaniesz porcyę, która ci na tydzień starczy!

Jęczenie nie cichło.

Dróżnik czuł, jak serce bije mu ciężkiem, nierównem tętnem; drżał, patrzał jakby nieprzytomnie w ziemię, ciężka, twarda dłoń odgarnęła kilkakrotnie pasmo mokrych włosów, które wciąż znowu spadało na czoło, piegami pokryte.

Przez chwilę zdawał się tracić nad sobą panowanie. Był to kurcz, w którym nabrzmiały mu żyły, a palce rąk w pięści się zwarły. Minęło — i pozostało tylko tępe znużenie.

Niepewnym krokiem wszedł w ciasny, cegłą wyłożony przedsionek, ciężko, zwolna wspinał się po skrzypiących schodach.

— Pfu, pfu, pfu! — wszczęło się znowu; przytem słychać było, jak ktoś splunął trzy razy z wszystkiemi oznakami wściekłości i pogardy. „Ty nędzny, podły, podstępny, fałszywy, tchórzliwy basałyku!“ Słowa następowały po sobie *crescendo*, głos zaś, który je wyrzucał, urywał się czasem z wysiłku. „Mojego chłopca bić chcesz, co? Ty nędzniku jakiś, odważysz się bić biedne, bezradne dziecko po twarzy? co? Rąk sobie nie chcę plamić na tobie, bo inaczej...“

Tejże chwili Thiel otworzył drzwi pokoju, wskutek czego koniec rozpoczętego zdania uwiązł przestraszonej kobiecie w gardle. Była kredowo-blada z gniewu, wargi drżały jej złością, podniosła prawą rękę, opuściła ją, chwyciła garnek z mlekiem, usiłując napełnić niem flaszeczkę. Czynności tej zaniechała jednak, ponieważ większa część mleka przelewała się po szyjce na stół, bezprzytomna prawie ze wzburzenia porywała to jeden przedmiot, to drugi, nie będąc w stanie trzymać go dłużej, niż przez chwil kilka, wreszcie opanowała się o tyle, że gwałtownie zwróciła się do męża: co to znaczy właściwie, że o tak niezwykłej porze do domu wraca, czy może chce ją szpiegować, „tego tylko brak jeszcze,“ mówiła i zaraz, że ma czyste sumienie i przed nikim oczu spuszczać nie potrzebuje.

Thiel prawie słów jej nie słyszał; w przelocie rzucił okiem na płaczącego Tobiaszka, przez chwilę zdawało się, jakby siłą woli tłumił w sobie coś strasznego, poczem na zmęczonych rysach legł dawny, flegmatyczny spokój, dziwnie przez ukradkowy, pożądliwy błysk źrenic ożywiony. Spojrzenie jego przelotnie zatrzymało się na silnych kształtach żony, która, krzątając się, z twarzą odwróconą, jeszcze przyjść do siebie nie mogła. Pełne, półobnażone piersi jej wzdymały się ze wzburzenia, jak gdyby rozsadzić miały gorset, podkasane spódnice szerzej zakreślały biodra. Od kobiety tej szła jakaś siła, którą opanować było niepodobna, przed którą ujść nie było można, a wobec której Thiel czuł się bezwładnym.

Uczucie to opasywało go lekko, niby cienka przędza pajęcza, a jednak silnie, jak gdyby żelazna siatka, więziło go, pokonywało, ubezwładniało. W tym stanie wogóle ani słowa przemówić by do niej nie mógł, tem mniej zdołałby się zdobyć na słowo twarde. Tobiaszek tedy, we łzach skąpany, w kącie ukryty, widzieć musiał, jak ojciec, nie obejrzawszy się nawet za nim, zapomnianą kromkę chleba z ławki koło pieca zabrał, na chleb ten, zamiast jakiegokolwiek wyjaśnienia, matce wskazał i kiwnąwszy krótko, w roztargnieniu głową, natychmiast się znowu oddalił.

III.

Mimo że Thiel z możliwym pośpiechem wracał do swego leśnego pustkowia, przybył jednak na miejsce o kwadrans później, aniżeli było przepisano.

Pomocnik jego, człowiek, który wskutek koniecznych przy służbie tej szybkich

krajowców. U niektórych pokoleń indyjskich kobiety drżą przed nim, ponieważ on zadaje im rany, wyjmuje im tłuszcz z nerek, odbiera im płodność i zabija dzieci. Indyanie pokolenia Sahaptin umierają często ze strachu pod wpływem „złego spojrzenia“ medyka. Również i szamanowie u ludów syberyjskich są ogromnie poważani, ale ludność więcej się ich boi, niż lubi.

Lekarze, pragnąc nadać sobie jak najwięcej powagi, prowadzą wogóle życie bardzo odmienne. Jadają np. oddzielnie i w porach niezwykłych, śpią wówczas, gdy inni czuwają, przedsiębiorą dalekie wędrówki, gdy towarzysze spoczywają w obozie; rzadko polują lub zajmują się rybołóstwem; w nocy wydają nieraz dziwne dźwięki i starają się wszelkimi sposobami straszyć lud. Mądrzy, przebiegli i zręczni, korzystają z każdej sposobności, aby wykazać swoją wyższość i wyzyskują spółbraci, ażeby jaknajwygodniej spędzać życie.

U niektórych ludów, np. u aszantów, u negrów z Loango, u mieszkańców Borneo i Celebesu, u wielu pokoleń indyan północno-amerykańskich itd. istnieją także kobiety-lekarze, ale w ogólności nie cieszą się takiem wzięciem, jak mężczyźni.

Ponieważ lekarze przy postępowaniu z chorymi muszą wchodzić w bezpośrednie stosunki z bóstwami i demonami, a nawet staczać z niemi walkę zaciętą, bardzo jest zrozumiałem, iż nie mogą oni w zwykłym, codziennym stroju przystępować do tak wielkich czynów. Strój ten, nadzwyczajnie fantastyczny, nie rzadko nader jaskrawy, wzbudza zwykle postrach. U niektórych tylko ludów, np. u mabundów w Afryce południowej, lekarze nie przywdziewają żadnego specyalnego ubrania; na wybrzeżu Loango lekarz, zanim udaje się do chorego, maluje sobie nos na czerwono, czoło na żółto, lica na czarno. Nadzwyczajnie osobliwa jest odzież medyka u indyan Atna. Plecy pokrywa osłona bogata w ozdoby, na której wymalowane są łby wilcze i ptasie, ogromne oczy niebieskie, blado-żółte i czarne, co sprawia na widzu nader przykre wrażenie; w samym środku karku wymalowana jest olbrzymia twarz ludzka z otwartą paszczą i wielkimi, sterczącymi zębami; na głowie chełm ze skóry lisiej; twarz pokryta jaskrawą i różnobarwną maską; na szyi wielki pierścień cedrowy, na którym pozawieszano są instrumenty z kości, z których liczne mają postać wydry — są to amulety; oprócz tego medyk ma jeszcze inne z kości, drzewa i kamieni. U indyan z okolicy Yellowstone-River przedstawia się również strasznie. Głowa jego i ciało pokryte są skórą żółtego niedźwiedzia, którego głowa służy za maskę, a pazury pokrywają dłonie. Cały ubiór jest przedziwną mieszaniną przedmiotów ze świata roślinnego i zwierzęcego. Na skórze *żółtego* niedźwiedzia, który jest tutaj rzadkością i uważany bywa za wyjątek ze zwykłego porządku w przyrodzie, zawieszone są skórki z różnych innych zwierząt, uważanych także za anomalie i potwory a stanowiących ważne lekarstwa, dalej skóry wężów, żab, nietoperzy, dzioby i nogi ptasie, kopyta i rogi, włókna roślinne, owady i ślimaki itd. itd.

Niezależnie od różnego rodzaju amuletów i fetyszów przeciwchorobowych, medycy ludów pierwotnych używają w swej praktyce lekarskiej ogromnej ilości przedmiotów ze świata roślinnego i zwierzęcego, które rzeczywiście wywierają mniejszy lub większy wpływ na procesy fizyologiczne, zwłaszcza produkty ze świata roślinnego, jak kory, korzenie, owoce, liście, nasiona itd. Bardzo liczne z tych leków znane są także w medycynie ludów ucywilizowanych, inne, dotąd nieznane, przedstawiają, być może, nader cenne środki, które z czasem wejdą do farmakopei.

Wyrabianie leków z przedmiotów naturalnych bardzo jest zbliżone do naszego postępowania; u różnych ludów pierwotnych spotykamy się z najrozmaitszemi postaciami lekarstw: płynami, dekoktami, plastrami, maściami, proszkami, pigułkami itd. itd. Ze środków terapeutycznych zasługują na uwagę: kąpiele zimne i ciepłe, środki, wywołujące poty i inne. Poty sztuczne są jednym z najbardziej rozpowszechnionych sposobów leczniczych. U indyan Dacota pocenie wywoływane bywa w następujący sposób. W miejscu przygotowanem do operacyi spalają na ziemi kupkę drzewa, a gdy ziemia jest jeszcze gorąca, wykopują dół, do którego kładą pacyenta, odzianego w suknie, pochłaniające pot, i w takim rozgrzanym dole zakopują całe jego ciało, wyjąwszy głowę; chory poci się w okropny sposób. Łaźnie parowe są również pospolite i uskuteczniane bywają w specyalnie w tym celu budowanych chatach.

Zasługuje dalej na uwagę, że masaż, którego zbawienne działanie uznane zostało przez nowszą medycynę, stosowany jest na wielką skalę u bardzo wielu ludów dzikich — np. u negrów australskich, u mieszkańców Sumatry, u indyan itd. Medyk masuje chorego rękami lub nogami; u indyan pokolenia Czarnej Nogi pacyent kładzie się na ziemię, a medyk w ciągu kilku godzin nieraz z wielką siłą naciera mu różne części ciała, ugniata, klepie go itp. najczęściej za pomocą stopy. Rozpowszechnione jest także nacieranie ciała popiołem gorącym.

Leczenie środkami nadprzyrodzonymi należy naturalnie do bardzo pospolitych: nawoływanie duchów za pomocą ofiar, aby postawiły dyagnozę choroby, wypędzanie złych duchów za pomocą okadzania itp. — zwykłe manipulacye.

Na szczególną uwagę zasługuje wysoki stosunkowo stan chirurgii u wielu ludów nieucywilizowanych. Stajemy tu wobec zagadki, której rozwiązanie nastręcza poważne trudności.

O ile w chorobach wewnętrznych uderza nas po większej części niedołężne branie się do rzeczy, które łatwo wytłomaczyć nieznajomością normalnych i patologicznych czynności życia, o tyle znowu z drugiej strony posiadamy wiarogodne wiadomości co do pewnych, niezmiernie trudnych operacyj, wymagających dosyć wysokiego stopnia wiadomości z dziedziny anatomii i fizyologii. W operacyach tych podziwiać też musimy energię, odwagę wykonawców i ich zaufanie do własnych sił. Nietylko przedsiębrane bywają drobne operacye, odjęcia członków, ale nawet loparotomie (w jamie brzusznej). Wiarogodny podróżnik Bancroft opisuje, że był naocznym świadkiem loparotomii, wykonanej przez medyka u indyan Onkanagan. Pacyentowi rozcięto nożem brzuch i wydobyto z wnętrza wielką masę tłuszczu, poczem rana została zaszytą, a operowany przyszedł wkrótce do zdrowia. Również wiarogodny badacz i podróżnik Felkin w r. 1879 w Uganda (Afryce środkowej) był świadkiem przy operacyi, dokonanej przez medyka krajowców na pewnej kobiecie. Było to cięcie cesarskie. Felkin opisuje bardzo szczegółowo tę operacyę i przedstawia rysunek użytego noża. Pacyentką była dwudziestoletnia kobieta, po raz pierwszy rodząca. Medyk dał naprzód chorej znaczną dozę wina bananowego, wskutek czego była ona w stanie napół nieprzytomnym. Krzywym nożem przecięto ściankę brzucha chorej oraz ścianę maciczną, wyjęto dziecię, żelazem do czerwoności rozpalonem tamowano zbytni krwotok; brzegi rany zaszyto za pomocą siedmiu cienkich, gładko wypolerowanych igieł, poczem położono na ranę, jako gruby plaster, pastę, przygotowaną uprzednio przez żucie dwóch różnych korzeni i spluwanie do garnka

---

zmian temperatury wpadł w suchoty, stał już, gotowy do odejścia, na małej, piaszczystej platformie domku, którego wielka, czarna, na białem tle liczba widniała po przez drzewa na znaczną odległość.

Podali sobie ręce, zamienili kilka słów i rozeszli się. Jeden zniknął we wnętrzu budy, drugi oddalił się, przecinając tor, kierując kroki na dalszy ciąg drogi, którą Thiel przeszedł. Słychać było kurczowy jego kaszel najpierw wyraźniej, potem słabiej, aż wreszcie wszelkie dźwięki w pustkowiu tem zamarły. Jak zawsze, tak i dziś, Thiel zaczął przedewszystkiem urządzać na noc ciemną, czworokątną swoją klatkę. Czynił to mechanicznie, podczas gdy myśl przetrawiała jeszcze wrażenia ostatniej godziny. Wieczerzę swoją złożył na wązkim, brunatnym stole, koło jednego z okien, z których wygodnie widzieć było można cały tor. Następnie w małym, rdzawym piecyku rozniecił ogień, stawiając na nim garnek zimnej wody. Uporządkowawszy wreszcie narzędzia, wziął się do czyszczenia lampy, którą zarazem w naftę zaopatrzył.

Kiedy skończył, trzy ostre uderzenia dzwonu obwieściły, że pociąg idący z Wrocławia, opuścił najbliższą stacyę. Thiel, najmniejszego nie okazując pośpiechu, pozostał jeszcze przez czas jakiś we wnętrzu budki, wreszcie wziąwszy do rąk chorągiewkę i ładownicę, zwolna izbę opuścił i ciężkim krokiem powlókł się przez wązką, piaszczystą ścieżynę ku wiaduktowi. Baryery Thiel sumiennie przed i po każdym pociągu zamykał i otwierał, mimo to, że rzadko kiedy ktośkolwiek mostem przechodził.

Skończywszy robotę, oparł się o czarno-biały szlaban i czekał.

Z prawej i lewej strony tor zachodził prostą linią w nieprzejrzaną, zieloną gęstwinę. Z obu stron usuwały się jakoby w tył masy igieł, pozostawiając między sobą wolną przestrzeń, zajętą przez czerwono-brunatny, żwirem wysypany wał kolejowy. Czarne, równolegle biegnące szyny podobne były do ogromnego oka żelaznej siatki, której wązkie pasma zbiegały się w jakimś punkcie widnokręgu na skraju południa i północy.

Zerwał się wiatr, rzucając ciche fale wzdłuż lasu i na oddala. Ze słupów telegraficznych, rozsianych po torze, rozlegał się szum akordów. Na drutach, wijących się od słupa do słupa, niby przędza jakiegoś olbrzymiego pająka, przysiadły w gęstych szeregach roje świegoczących ptaszą. Dzięcioł, śmiejąc się, przefrunął ponad głową Thiela, który nawet na ptaka nie spojrzał.

Słońce, zwieszające się z brzegów potężnych chmur, aby za chwilę utonąć w czarno-zielonem morzu wierzchołków, zalewało gęstwinę falami purpury. Arkady sosen, po drugiej stronie wału, zapłonęły niby z wewnątrz, iskrząc się jak rozżarzone żelazo.

I szyny zaczęły płonąć, niby węże ogniste, lecz pierwsze zgasły; i oto żar zaczął się wznosić zwolna z ziemi ku górze, tuląc w zimne, umierające światło najpierw pnie sosen, potem większą część ich koron, rzucając wreszcie tylko jeszcze na sam skraj wyżyn czerwonawe połyski. Dróżnik wciąż stał jeszcze nieruchomie przy baryerze, w końcu o krok postąpił; ciemny jakiś punkt na miejscu, gdzie się szyny schodziły, powiększał się. Rosnąc tak z sekundy na sekundę, zdawał się jednak z miejsca swego nie posuwać. Nagle poruszył się i zaczął zbliżać. Szyny drżały i szumiały, odezwały się rytmicznym szczękiem, głuchym hukiem, coraz głośniejszym, który wreszcie do odgłosu kopyt końskich, do galopu całego hufca jeźdźców stał się podobnym.

Urywane dyszenie, huczenie zdala wzmagało się w powietrzu; potem cisza urwała

przeżutej miazgi; pastę pokryto jeszcze ciepłym liściem bananowym i zakończono operacyę przez nałożenie mocnego bandażu z łyka roślinnego. Na jedenasty dzień rana była zupełnie zagojona i chora powróciła do zdrowia.

Znane są podobne przykłady operacyj, dokonywanych i u innych ludów dzikich, zwłaszcza u indyan. U krajowców Australii nierzadkie są przypadki owariotomii u dziewcząt itp.

Gdy czytamy o tych wielkich rękoczynach, musimy się im w wysokim stopniu dziwić; należą one do kategoryi czynności, które nawet u ludów ucywilizowanych wykonywane bywają tylko przez najznakomitsze siły chirurgiczne i to zawsze z obawą; tylko niezwykła ostrożność pod względem antiseptycznym pozwala w tych wypadkach ustrzedz pacyenta od zakażenia. U ludów dzikich o ścisłej antiseptyce nie ma zaś przecie mowy.

Na brudnych pacyentach, brudnemi lub wogóle niedostatecznie zdezinfekowanemi rękami i niewątpliwie bardzo nieczystemi narzędziami są wykonywane te operacye, a pomimo to nie tylko nie umierają wszyscy chorzy, lecz liczba szczęśliwych operacyj jest tu często większą, niż w krajach ucywilizowanych, na klinikach najlepiej urządzonych. Dr. Bartels stara się wykazać, że jedyne objaśnienie tego dziwnego zjawiska polega na tem, iż ludy pierwotne posiadają niewątpliwie daleko większy stopień odporności przeciwko bakteryom chorobotwórczym, aniżeli ucywilizowane.

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Antonio Fogazzaro. — Malombra. Tajemnica poety.

Wiele poezyi miał katolicyzm średniowieczny, ten sam, którego potężne tchnienie ogarnia nas przy czytaniu takiej „Cezary.“ Jest to czar tak wielki w swej arystokratycznej wspaniałości, iż nawet niewierzącemu nie sposób go potargać. Czyż warto było burzyć te gmachy starożytne, aby obecnie na ich gruzach odbudowywać nowe kapliczki, bez stylu i uroku? A jednak tak jest. Myśl krytyczna po zburzeniu wszystkich podstaw wiary i doszedłszy w ten sposób do pesymizmu, stara się obecnie powrócić do religii — jest to jeden z rysów charakterystycznych naszego czasu. Renanowi przypomina to kościół w Ferney, na którym widnieje napis: „Deo erexit Voltaire.“ Głównym przedstawicielem tego nowochrystyanizmu w literaturze włoskiej jest Antonio Fogazzaro, pisarz pierwszorzędnego talentu, jedna z największych gwiazd na Parnasie Italii. A jednak nie jest to czysta wiara, wiek pozytywizmu pozostawił i na nim dobitne swe ślady. Autor w sposób następujący wyraża swój program literacki. „Wydawało się Sylli, iż literatura współczesna jest nader uboga w dzieła tego rodzaju, w których pisarze dawniejsi malowali człowieka wewnętrznego ze ścisłością zupełnie naukową i z wyborną sztuką stylu; wydawało mu się, że w takiem studyum spostrzeżenia i fakty współczesne powinny być porównywane z faktami przeszłości, aby ocenić wartość moralną, stosunkową i bezwzględną naszego pokolenia. Jego zdaniem, doniosłość zmian religijnych i politycznych, a nawet postępu nauki i przemysłu, określa się nie sumą prawdy lub dobrobytu, lecz dobra i zła moralnego, która z nich wynika, nie licząc, iż w ten sposób człowiek drogą mistyczną bardziej się zbliża do istoty prawdy i piękna, niż drogą czystej sztuki i poznania. Co do sztuki, oceniał ją tym samym probierzem, odrzucając zarazem, jako dziecinną i fałszywą teoryę bezpośredniego moralnego nauczania. (Moralność i sztuka powinny więc kroczyć ręka w rękę). Sądził, iż istnieją rzeczywiście cyfry, służące do mierzenia wartości moralnej, lecz są one tymczasem niedostępne dla umysłu ludzkiego; nie uważał liczb statystycznych za czynnik tego badania, gdyż jednostki są tu dowolnie kombinowane na zasadzie pewnych cech wspólnych, zupełnie zewnętrznych i powierzchownych, dzięki czemu klasyfikacye są sztuczne. Przenosił więc ponad grube rachunki arytmetyczne dzieła spostrzegaczy moralnych, uważnie odszukujących pod wyrazami i czynami motywy wewnętrzne i dzieła myślicieli zdolnych uporządkowywać te spostrzeżenia i wywodzić z nich sądy prawie naukowe. Chciał, aby spostrzeżenia te prowadzone były z jaknajwiększą ścisłością.“ Widzimy więc, iż autor stawia wymagania obejmujące: ścisłość naukową, piękno estetyczne i tendencyjność moralną — razem wzięte. Żaden z tych czynników zosobna mu nie wystarcza.

Zobaczmy, w jakim stopniu jego dzieła odpowiadają tym wymaganiom. Pierwsza powieść Fogazzara „Malombra“ uważana jest przez niektórych za dzieło wspaniałe i nieustępujące pod względem piękna i doniosłości moralnej „Narzeczonym“ Manzoniego. Inni natomiast zarzucają, iż brak jej kompozycyi i prostoty. Istotnie, autor rozwija tu równolegle kilka intryg, nader zaplątanych, w których nie brak efektów fantastycznych, często nawet jasełkowych. Posłuchajcie tylko. Bohaterką romansu jest młoda dzieweczka, donna Marina, sierota, przebywająca u swego stryja, hrabiego Cezara d'Ormengo. Znajduje ona pewnej nocy w skrytce rękopis, pozostawiony tam przez Cecylię Varenga i dowiaduje się zeń, iż ta ostatnia była żoną Cezara, który z zazdrości zmarnował ją w samotnem zamknięciu. Błaga ona, aby się zemszczono na jej kacie, dodając: „Ty, co znajdziesz i odczytasz te wyrazy, poznaj w sobie mą duszę nieszczęśliwą.“ Marina poddaje się suggestyi, wyobraża sobie, iż odziedziczyła duszę swej babki. Kocha ona młodego pisarza, Conrado Silva — któremu autor, jak to wyżej widzieliśmy, każe wypowiadać swoje poglądy na literaturę — miłością przewrotną, szaloną, jak przystało na bohaterkę związaną mistycznym łańcuchem z kobietą umarłą w szaleństwie po występnej miłości. Silva gotów jest podzielić tę namiętność, jakkolwiek uznaje ją za złą, ale szczęściem spotyka prostą i niewinną Edytę Steinegge i przezwycięża ogarniający go szał. Marina pała nienawiścią i ostatecznie wyrzucona z równowagi, po krwawej zemście na Cezarze i Sylvie, kończy samobójstwem.

Z tego krótkiego streszczenia już można sądzić, jak dalekim jest Fogazzaro od ściśle naukowej obserwacyi, którą tak gorąco zaleca w teoryi. Moralne tendencye autora wyrażają się w walce namiętnej, jaką Silva toczy z przewrotnymi popędami, pchającymi go ku Marinie, w nawróceniu ojca Edyty Steinegge, który z wolnomyśliciela staje się gorącym katolikiem i nareszcie w demokratycznych dążnościach arystokraty i wielkiego pana Cezara d'Ormengo. A więc moralność, katolicyzm i socyalizm chrześciański — takiem jest wyznanie wiary autora.

Cudacka treść wiele szkodzi estetycznej stronie dzieła, które zresztą cierpi także na brak kompozycyi. Autor chciał tu wyrazić całego siebie i zatrącić jaknajobszerniejszą gamę uczuć: powieść jego stała się

---

się nagle, szalony szum, łoskot wypełniły przestrzeń, szyny ugięły się, ziemia zadrżała, chmura kurzu, dymu, czadu i czarny, sapiący potwór zniknął. Podobnie jak poprzednio szelesty rosły, tak teraz powoli, stopniowo konały. Opary niknęły, pociąg, skurczony do objętości punktu, ginął w oddali i dawna, święta cisza legła znowu nad zakątkiem leśnym.

IV.

— Minno! — szepnął dróżnik, jakby ze snu się budząc i wrócił do budki. Zaparzywszy sobie lekką kawę, siadł i zwolna popijając, utkwił oczy w kawałek jakiejś gazety, którą znalazł na torze.

Stopniowo zaczął go ogarniać dziwny jakiś niepokój. Przypisywał to żarowi, idącemu z piecyka, aby więc sobie ulżyć, rozpiął gwałtownie mundur i kamizelkę i gdy to nie pomogło, wstał, wziął z kąta rydel i udał się na podarowane pole.

Był to wązki szmat piasku, gęsto chwastami porosły; na gałęziach dwóch drzewek owocowych młode, wspaniałe kwiecie legło niby śnieżno-biała piana.

Thiel uspokoił się.

A więc do roboty.

Rydel ze zgrzytem wpijał się w ziemię, wilgotne skiby padały z głuchym odgłosem i kruszyły się.

Pracował jednym ciągiem, potem nagle przestał i kiwając głową, rzekł do siebie głośno i wyraźnie: „nie, nie, niepodobna,“ i znowu; nie, gdzież tam, niepodobna.“

Przyszła mu nagle myśl, że oto teraz Lena częściej tu przychodzić będzie w celu obrobienia tej roli, wskutek czego dotychczasowy sposób jego życia silnie zostałby zachwiany. I raptem radość jego z powodu posiadania tej gleby zmieniła się we wstręt do niej. Z pośpiechem, jakby chciał popełnić coś złego, wyrwał rydel z ziemi i odniósł go do budki. Tu zapadł znowu w głuchą zadumę. Nie wiedział, dla czego, ale perspektywa pozostawania tu na służbie przez całe dnie w towarzystwie Leny wydawała mu się coraz więcej niepodobną do zniesienia, mimo że gorąco usiłował się z nią pogodzić. Zdawało mu się, jakoby miał tu bronić czegoś, co bardzo mu było drogiem, jakoby ktoś wdzierał się do jego świątnicy i mimowoli żyły sprzęgły mu się kurczem, a z ust wydobył się krótki, wyzywający śmiech. Echem tego śmiechu przestraszony, rozejrzał się po budce i stracił jednocześnie nić swoich rozmyślań.

I nagle coś, niby czarna zasłona, przerwała się na dwoje i zamglonym jego oczom przedstawił się widok jasny. Wydało mu się zrazu, że ocknął się ze snu dwuletniego, że z niedowierzającym ruchem głowy przygląda się wszystkim tym straszym rzeczom, które w owym stanie podobno popełnił. Cierpienia starszego jego dziecka, stwierdzone zajściem ostatniem, wyraźnie odbiły się w jego duszy. Zdjęła go litość i żal, i wstyd głęboki, że cały ten czas przeżył w hańbiącej bierności, nie obroniwszy ani razu kochanego, bezsilnego stworzenia, co więcej, nie znalazłszy nawet mocy przyznania sobie, jak bardzo stworzenie to cierpiało.

Wśród tych rozmyślań zmogło go silne zmęczenie, zasnął tedy — pochylony, czołem wsparty na dłoni, spoczywającej na stole.

Siedział już tak przez czas jakiś, gdy nagle stłumionym głosem zawołał kilkakrotnie: „Minno!“

W uszach miał huk, szum, wznoszący się jakoby z niezmierzonych mas wodnych, wokoło mrok — zbudził się. Drżał na całem ciele, twarz mokrą była od potu i łez.

(D. c. n.).

więc zbyt przepełnioną. Co stanowi istotną jej zaletę, to tchnienie głębokiego entuzyazmu, które zresztą nie opuszcza autora i w następnych książkach. Oto np. wyznanie: „Ręka mi drży, serce nie jest pełne łkania, łzy wznoszą się ku memu gardłu. I opowiadanie me wydawać się będzie tak zimnem, być może mnie samemu! Chciałbym mówić, ale nie słowem, które umiera, mówić o tamtym świecie, nieznanym, słowem, które żyje, przechodzi od atomu do atomu, nigdy nie odpoczywa, przenika do światów niedostępnych dla oka ludzkiego, jeżeli są tam duchy, zdolne odczuwać wszystkie wzruszenia. Chciałbym módz mówić nie do tłumu, lecz tylko do serc szlachetnych, które potwarz mogła zasmucić i do serc przewrotnych. Czyż powinienem teraz złożyć pióro i zdać się na Boga? Myślę o *niej*, o mojej *gwieździe* i słyszę jej słodki głos, najsłodszy sądzę, jaki tylko brzmiał w ustach ludzkich: pisz, kochany; *write, love*.“

Powieść francuska, a w ślad za nią i włoska, jest obecnie szkołą mizantropii i ironii. U Fogazzara znajdujemy natomiast wiele — może zbyt wiele — uczuciowości i zapału. Powyższe słowa są dewizą ostatniej powieści tego autora p. t. „Tajemnica poety.“ Bezimienny bohater opowiada historyę swej miłości idealnej, romantycznej. Poeta dawno szukał duszy siostrzanej, któraby potrafiła przeniknąć do jego własnej: dotychczas miewał tylko związki powierzchowne, salonowe i tylko we śnie słyszał kilkakrotnie głos wybranki swych marzeń. Przypadkowo, na brzegach Lugano, usłyszał ten sam głos już na jawie. Miss Violette Yves jest pięknością prerafaeliczną; życie nie szczędziło jej swych okrucieństw: kochała niegdyś człowieka, z którym zmuszona była zerwać, obecnie wychodzi za profesora niemieckiego, którego bardzo szanuje, tylko dla wykonania woli swych krewnych. Poznawszy jednak poetę, wywzajemnia mu się głębokiem uczuciem, uważa wszakże, iż za późno jest się cofnąć, iż musi dotrzymać słowa prof. Toplerowi. Bohater stara się wszakże, aby ten ostatni się dowiedział, iż miss Yves poświęca się tylko swemu zobowiązaniu i — Topler się usuwa. Zakochana para dochodzi w ten sposób do celu swych życzeń. Ale naraz zjawia się pierwszy narzeczony, bohaterka dostaje ataku i umiera od choroby, zresztą nader usłużnej. Anegdota, jak widzimy, nic szczególnego nie przedstawia. Jest to powieść bez idei czysto sentymentalna, ale zawiera tchnienie istotnej czułości i czaru. Pod względem stylu Fogazzaro zrywa z dotychczasowemi tradycyami realizmu. Bardzo mało zajęty opisami zjawisk zewnętrznych, stara się głównie o wyrazistość, dzięki czemu styl jest często zagmatwany, niejasny, zajęty głównie podaniem czytelnikowi stanów duchowych.

Powieść włoska przeszła też same mniej więcej koleje, co i francuska. Powodzenie naturalistów odpowiadało powodzeniu werystów. Verga rozpoczął swych „Zwyciężonych“ wrazz „Rougon-Macquartami“ Zoli. Nowele sycylijskie Capuany były naśladownictwem nowel Maupassanta, Vergu, Troncom, Capnana, Matylda Serno i inni przedstawiają miłość z jej strony brutalno-zmysłowej, a wszyscy mniej więcej oddali się powieści psychologicznej, idąc szlakiem Bourgeta i jego uczniów. Ale i to się wyczerpało. D'Annunzio, Carlo Dossi rzucili się w dekadencyę. Próżność chętnie staje na czele dekadencyi, jeżeli nie może być na czele postępu. Oparto się w ten sposób o ostatnie cyple lodowate Parnasu. Dalej iść nie było dokąd. Trzeba było nawrócić. D'Anunzio w swem „Poema paradisiaco“ jest czystym chrześcianinem, Fogazzaro rozpoczął od owoców z drzewa poznania — pierwsze jego poezye zdradzają smutek zniechęcony, rodzaj obawy przed wiarą i czynem, która składa skrzydła, żal płynący z zawiedzionych nadziei i dostarczający dekadenckich rozkoszy — obecnie stał się katolikiem ortodoksyjnym. Ale zachwyty młodości nie przeszły im bezkarnie. Dziadowie jedli kwaśne winogrona, a synom cierpną z tego zęby. We wszystkich tych religijnych polotach czuć coś sztucznego, obstalowanego. Fogazzaro, jak widzieliśmy, chce pogodzić wiarę z nauką. Ale na tym związku obie cierpią. Jego analizy psychologiczne mając na widoku moralizatorstwo, przestają być realnemi. A jeżeli on lub d'Annunzio zachwycają się miłością niewinną, to niechcący czynią wrażenie starych lubieżników. Z punktu widzenia psychologicznego czystość jest szczytem sensualizmu, a wstyd — kokieteryi. Niewinność jest rzeczą najniebezpieczniejszą w kobiecie. Formy czyste i przysłonięte są najobfitsze w marzenia i najpotężniejsze w pobudzenia wyobraźni. To, rozumie się, nie zmniejsza wagi tych zalet, tylko my wiemy, iż mamy do czynienia z produktami psychicznymi. Miłość jest splotem złudzeń, a wstyd jest ojcem miłości. Są to kłamstwa, ale szczytne. Niechaj kwitną. Na czole nieświadomem wywołują rumieniec — czyż rumieńce wstydu nie wydają się wam pokrewnemi czerwieni kłamstwa? U świadomych natomiast te kłamstwa mają chłód bezczelności. Religijne zapały d'Annunzia lub Fogazzara ku niewinności są, gdyby nawet były najszczerszemi, tylko wyrafinowaniem dekadencyi. To jest fatum.

L. W.

EMANCYPANTKI.

Nasi przodkowie nie radzili wdawać się z białogłowami, przypisywali im bowiem temperament wielce wojowniczy. Przekonałem się o rzetelności ich sądu. Przed kilku miesiącami wypadło mi stanąć w obronie zwykłej kobiety przeciwko sztabowi niewieściemu, który wziął był na siebie przywództwo w boju emancypacyjnym. Pono zawrzało, jak gdybym cisnął kamień w mrowisko. Niektóre z walecznych białogłów wysłały anonimowe pociski piśmienne aż po za Atlantyk. Niewątpliwie chciały mi wyrządzić wielką przykrość. Dopięły tego, bo dowiodły, że nawet u członkiń sztabu niewieściego logika zrobiła bardzo małe postępy, a rozumowanie nie przeniewierzyło się tradycyom taktyki buszmańskiej, kiedy niewiasty wychodzą na przód szeregów i łżąc przeciwników, dają pobudkę do boju. Ale pomiędzy wysłanymi pociskami znalazł się także jeden list — jedyny. Nieznajoma autorka pojęła, że nie zamierzam przed kobietą zamykać ani wrót wiedzy, ani forum publicznego lub skazywać ją na pielęgnowanie znicza domowego w naiwnej nieświadomości i niewolniczej karności, że jeżeli szło mi o coś, to o napiętnowanie wybryków dam — wyraźnie powtarzam „dam,“ niezdających sobie sprawy z tego, że istnieją pewne idee, zbyt święte dla ich rozkapryszonej lub wykoszlawionej duszy, traktującej wszystko na równi z ploteczką w salonie, albo niemogącej trafić na drogę zdrowego instynktu. List ów był pełen rzewnej acz nieokreślonej skargi na los, oczekujący każdą wrażliwą dziewczynę, która wybiegając myślą po za widnokręgi codziennego deptaka, tem samem zwolna, bez walki nawet, targa siły swoje, dostaje nic opatrzywszy się zmarszczek na licach i nosi niezapełnioną pustkę w sercu.

Postanowiłem naówczas skorzystać z pierwszej lepszej okazyi, żeby dotknąć sprawy innego zastępu naszych emancypantek, dla których swoboda uczuć, prawo do wiedzy i inne pokrewne hasła nie są czczym frazesem, obliczonym na słuchaczów, ani głosem historycznej natury, lecz rzetelną, zdrową potrzebą życia. Nie wiem, jak prędko by to nastąpiło, gdyby najnowsza powieść Prusa nie dała mi ostatecznej pobudki *).

I.

Świeży ten utwór Prusa dziwne czyni wrażenie swoją niespójnością. Są obrazy, na które zwróciwszy oko, odrazu spostrzegasz, że malarz ma pewną wadę: nie umie objąć perspektywy. Wycieniował z nadzwyczajną subtelnością mnóstwo drugorzędnych szczegółów i szczególików, ale nie zdołał powiązać ich w harmonijną całość. Coś podobnego widzimy w powieści Prusa. O ile to wypływa z natury autora, nie badamy. Ale nie ulega żadnej wątpliwości, że niemniej wiele przyczynił się do tego nowoczesny sposób pisania. Jedynie od maluczkich świata powieściopisarskiego redakcye wymagają, ażeby z góry złożyli cały swój utwór. Wielcy oswobodzeni są od takiego obowiązku. Wolno im dostarczać swój towar z numeru na numer, to znaczy — pisać z dnia na dzień. Jeżeli praca jest znaczniejszych rozmiarów, autor zaś słucha głosu swoich kaprysów, powieść jest pisana rok i dwa śród bardzo odmiennych nastrojów ducha, śród różnych podniet i pod wpływem innych wrażeń. Kto wie, w jakiem usposobieniu znajduje się twórca, kiedy po upływie roku będzie przygotowywać materyał na najbliższy odcinek dziennika? Znam zwykłych publicystów, którzy, jeżeli nie wykończą jakiegoś tematu natychmiast, nigdy już do niego nie powrócą, gdyż odpowiedni nastrój opuścił ich na zawsze. Sądzę, że powieściopisarz ulepiony jest z gliny jeszcze kapryśniejszej. Jeżeli zdarza się, iż w ciągu wielkiej powieści barwa oczu i nawet nazwisko bohatera uległo pewnej zmianie, cóż mówić dopiero o mniej uchwytnych rysach, jakie zawiera charakter! Prus należy właśnie do liczby uprzywilejowanych. Kiedy czytelnicy biorą do ręki odcinek dziennika, w którym zaczyna się większy jego utwór, może nie więcej od autora przewidują, co w końcu stanie się z wyprowadzonymi bohaterami. Okoliczność ta położyła swoje piętno na obecnej powieści. „Emancypantka,“ tak bowiem brzmiała nazwa pierwotna, zamieniła się na „Emancypantki.“ Nie jest to zgoła rzecz przypadku, lecz zmiana poważna, świadcząca, że rezultat ostateczny wyszedł inny, aniżeli Prus zamierzał, kiedy kładł nagłówek nad odcinkiem, rozpoczynającym powieść. Jego utwór naturalnie daje wymowne świadectwo skutków takiego pisania. Jak w malowidłach chińskich, brak tu środkowego ogniska, do którego by zdążały wszystkie linie rysunku.

Z powieści Prusa moglibyśmy wykroić kilka samoistnych, z których każda byłaby skończoną i zaokrągloną całością. Dzieje pensyi pani Latter, kończące się ucieczką przełożonej i jej śmiercią w nurtach wezbranej rzeczułki, są osnową doskonale zamkniętą w sobie, może najlepszą, posiadającą własny środek perspektywy. Podobnie tom drugi, zawierający dzieje Iksinowa, mógłby stanowić odrębną całość, a nie odczulibyśmy tego, że gdzieindziej zadziergano początek i że losy głównej bohaterki dopiero rozstrzygają się o dwa tomy później. Podczas gdy w tomie pierwszym Prus kusi się o psychologię, w drugim jest przeważnie karykaturzystą, w małomiasteczkowym potoku życia nawet w zdarzeniach najtragiczniejszych trudno mu odszukać coś nieśmiesznego. A pamiętajmy też, że ma on w swoim mózgu kilka ukochanych płodów umysłu, które bądź co bądź muszą być wplecione w pasma wątku powieściowego. Od lat z górą dziesięciu nie

*) *Emancypantki*, tomów 4. Warszawa.

może się otrząść ze Spencerowskiej doktryny organizmu społecznego, od niejakiego czasu chętnie zagląda do krainy transcendentalizmu, usiłując podnieść nieco rąbek osłaniającej ją tajemnicy, i lubi wyprowadzać grzeszników pozytywizmu, spełniających akt skruchy i żałujących za dawne czyny. Kiedy zaś dostanie się do takiego ukochanego tematu, zapomina o wszelkiej proporcyi, dzierga nową akcyę i cieniuje jej szczegóły. W toku zdarzeń wycieczki takie wyrastają na zupełnie odrębne ustępy, a każdy, kto przeczyta *Emancypantki*, spostrzeże tę dysharmonię. Z kronik tygodniowych wyniosłem o Prusie przeświadczenie, że jest to natura wielce niejednolita, która nie zdołała nałożyć cugli na swoje kaprysy i wciąż jest na ich łasce. A jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę ów przeciągły i sztukowany sposób pisania, zrozumiemy niespojność jego utworów.

Naturalnie potrzebuje on jakiejś nici, na którą można było nanizać te odrębne powieści, te rozbieżne akcye. Owem spoidłem jest Madzia, poczciwe a niedoświadczone i niezbyt rozgarnięte dziewczę, które znalazłszy na swoich barkach nielada ciężar: utrzymania tego, co się rozlata! — musi przebyć długą, ciernistemi nieprawdopodobieństwami najeżoną drogę. Nie skacze wprawdzie do przepaści i nie wdrapuje się na szklaną górę, na której znaczyć winna swój pochód odgryzionemi kostkami z własnej ręki, musi jednak wykonać bardzo wiele skoków akrobatycznych. Ona to wiąże rozpierzchłe tematy: jest spójnią pomiędzy cząstką życia, zamkniętą w murach pensyi pani Latter a potokiem zdarzeń w dalekim Iksinowie, pomiędzy domem dorobkiewiczów a arystokracyi rodowej. Na Madzi spoczywa też obowiązek ułatwienia autorowi wsunięcia w powieść poglądów na spirytyzm, skruchy zatwardziałego pozytywisty i wycieczek do sfer transcedentalnych. Lubo skora do czynów i pełna zapału, nic dziw, że zaczyna czuć znużenie, zwłaszcza, że tempo powieści jest nader szybkie (inna bohaterka, Ada, załatwia się z uniwersytetem jakoś w ciągu kilku miesięcy). Ktoś przytem rozbija dogmatyczną wiarę dziewczęcia i oddaje ją na pastwę wątpliwościom, z któremi ona nie umie sobie poradzić. Prus znajduje na to środek. Starych pozytywistów nawraca na metafizykę, powątpiewające o dogmatach lub zawiedzione dziewczęta zamyka w klasztorze. Madzia chroni się do zakonnic. Zdaje się jednak, że nie pójdzie śladem salonowej Izabelli i nie zostanie tam na zawsze, bo stary major, mistrz zdrowego rozsądku, wiedzący jakim tonem mówić z rozkapryszonemi spódniczkami, daje naukę Solskiemu, jak wyprowadzić z ustronia młodą pustelnicę: „Co robi zakochany kaczor? Myślisz, że wzdycha, albo naradza się z kim? Gdzie tam! On naprzód zjada swoją porcyę i porcyę panny a potem, bez żadnych madrygałów, bierze ukochaną za czub i prowadzi do urzędnika stanu cywilnego. Taki był nasz dawny system, dobry system. A sprobuj tylko z babą ceregiele, nie wybrniesz z tarapatów!“

Nie będziemy roztaczali wątku powieści ani rozwodzili się nad jej wartością, co najwyżej radzilibyśmy każdemu, kto weźmie ją do ręki i przeczyta, aby zadał sam sobie pytanie, czy przeczytałby ją po raz wtóry. Odpowiedź, jakiej sobie na to udzieli, będzie najlepszą oceną książki. Prus jest realistą z nazbyt silnym odcieniem karykaturzysty, tj. bierze rzetelne stany ducha, wyprowadza prawdziwe uczucia, ale posiada zdolność podchwycenia przedewszystkiem tylko niektórych rysów, przeważnie śmiesznych. Postacie jego są wielce prawdziwe, każdy z nas miał do czynienia z podobnymi temperamentami, ale sytuacye są często zbyt nieprawdopodobne. Nie chodzi nam tu wszakże o szczegółową jego charakterystykę. Zadanie naszej oceny nie polega na rozbiorze postaci ze strony artystycznej, lecz na zbadaniu, skąd wzięły się w życiu te postacie bohaterek, emancypantek. Nadto wolno nam zażądać od Prusa jeszcze innego rachunku. Jako powieściopisarz, posiada niewątpliwie prawo wyprawiania możliwych harców i wybierania z pośród rzeszy ludzkich charakterów i czynów takich, jakie najbardziej przypadają mu do gustu. Ale my również, mamy prawo rozważyć, czemu oko autora spoczęło tylko na niektórych postaciach i dlaczego nie dojrzało innych.

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawy Zarzadu Dobroczynności. — Psychiatryczne badanie przestępców. — Figuer. — B. Prus. — Zmiłuj się nad nami!

Aby nie osiąść na bruku, zarząd katolickiego Towarzystwa dobroczynności, używa wszelkich środków. Do tradycyjnych koncertów i balu dołączył teatr amatorski, zamierzył urządzić kilka odczytów publicznych, wreszcie wydaje książkę zbiorową. Teatr, dzięki pomocy bawiącego w Petersburgu artysty Mielnickiego, przedstawia się nie źle; księga podobno już w druku; seryę odczytów zaczęto... Pierwszy wykład publicysty i literata Boborykina „O arcydziełach literatury ruskiej i polskiej,“ tj. o *Eugeniuszu Onieginie* — Puszkina i *Tadeuszu* — Mickiewicza odbył się w sali biblioteki przy kościele św. Katarzyny 20 stycznia. Prelegent o utworze Mickiewicza mówił z zapałem niekłamanym i narzekał, że społeczeństwo ruskie zbyt mało zna bratnią literaturę polską... Dzięki pamiętnikom p. Smirnowej (niewydanym), p. Boborykin dowiedział się, że Puszkin do śmierci zachował dla Mickiewicza głęboki szacunek, a mawiał, że gdy mu na starość zbraknie siły twórczej, zajmie się tłomaczeniem *Tadeusza*. Wiadomo, że umarł w kwiecie wieku, więc zamiaru powziętego nie mógł dokonać.

Bal katolick. Tow. Dobroczynności nie był ani szumny, ani tłumny: bawiono się zresztą nie źle, dochodu otrzymano przeszło trzy tysiące rubli.

Przeszłej zimy, w myśl jurysty Chrulewa, dwa towarzystwa: psychiatrów i prawników na wspólnem posiedzeniu wybrały z obu stron po kilku członków dla opracowania programu: psychiatrycznego badania przestępców. Na członków wybrani zostali od psychiatrów: Br. Tomaszewski, A. Czeremszański i O. Czeczott, zaś od przedstawicieli prawa: W. Słuczewski, prof. Fojnicki i S. Chrulew.

Komisya opracowała wnioski i obecnie (27 stycznia) przedstawiła je na sąd obu połączonych towarzystw, które w dalszym ciągu mają czynić staranie o uprawnienie ich w życie.

Ogólna idea zawiera się w następujących zdaniach:

Każdego przestępcę należy zbadać, o ile jest zdrowym psychicznie, a że niepodobna mieć przy każdym sądzie psychiatry, więc przynajmniej podług opracowanego przez Komisyę wzoru, sędzia śledczy powinien zadać podsądnemu pytania i zapisać otrzymaną odpowiedź.

Pytania te w skróceniu są następujące:

1) Czy niema oskarżony niedostatków fizycznych?

2) Czy przebywał kiedy w szpitalu — i w jakim?

3) Czy się nie leczył w domu obłąkanych?

4) Czy nie podlega napadom chorobliwym?

5) Czy nie jest pijakiem?

6) Czy zna swoich rodziców, a jeśli zna, czy nie podlegali oni lub blizcy krewni wypadkom obłąkania, histeryj? Czy nie było samobójstw?

7) Jeśli byli tacy, czy nie sądzono ich za jakieś przestępstwa?

8) Szczególne uwagi.

Po zapisaniu odpowiedzi, jeżeli sędzia śledczy przyjdzie do wniosku, że niezbędne jest badanie lekarza, więc pisze o tem w osobnym 9-m punkcie. W każdym razie dołącza kartę do innych zwykłych badań i sprawa toczy się zwykłą drogą, tj. albo uwolnieniem podejrzanego, albo oddaniem pod sąd. Niema jednak prawa sędzia śledczy nie wezwać lekarza do zbadania jednostek oskarżonych za rozmyślne zabójstwo, pastwienie się, za występki przeciwne naturze. Wreszcie powinni być badani podpalacze niepełnoletni i tacy, których blizcy krewni cierpieli obłąkanie.

Wezwany lekarz badania swoje zapisuje podług innego, szczegółowego wzoru. Po ukończeniu tej ostatniej czynności, sędzia śledczy przesyła sprawę do prokuratora, ten zaś albo umarza ją, albo przekazuje sądowi.

Pytanie, co robić, jeżeli sąd uzna, że przestępca jest jednostką chociaż nieobłąkaną, lecz zwyrodniałą, prawie nieodpowiedzialną za swój czyn? Takie istoty, podług mniemania Komisyi, należy umieszczać w odpowiednich więzieniach, mających raczej charakter przytułków.

Postawieni w szczególnych warunkach, bez możności szkodzenia społeczeństwu, przebędą w nich czas kary, poczem powinni być podanni ekspertyzie, i w razie potrzeby, zatrzymani jeszcze czas jakiś (niedłużej nad 5 lat) w przytułku, wreszcie oddani krewnym pod dozór.

Dalej praca Komisyi dotyczy dozoru psychiatrycznego przestępców, osądzonych na karę więzienną. Mogą tu zajść dwa wypadki: pierwszy, jeżeli z charakteru choroby okaże się, że skazany cierpiał już, dopuszczając się występku, w takim razie ma on być oddany napowrót do sądu, który rozpozna sprawę na nowo. Drugi wypadek — jeżeli odbywający karę zachoruje w więzieniu. Przy zwykłych chorobach czas spędzony w szpitalu nie wpływa na zmianę terminu zamknięcia w celi, przy umysłowych zaś, zwykle upartych, a częstokroć nieuleczalnych, podług mniemania komisyi czas przebyty w szpitalu powinien zmniejszać, a przy dłuższym pobycie zupełnie znosić karę więzienną; inaczej mogłoby zdarzyć się, że ktoś skazany na wieżę przez rok, lub dwa — całe życie pozostawałby więźniem.

Ostatni wniosek Komisyi dąży do tego, ażeby z całego państwa zgromadzać tablice razem z antropomorficznymi pomiarami przestępców i sprawami sądowemi do pewnego biura, które mogłoby dostarczać materyału dla studyów, statystyki etc.

W czasie rozpraw nad owym projektem, wykazywano pewne niedostatki, ale o tyle mało znaczące lub niewytrzymujące krytyki, że członkowie Komisyi łacno zbili zarzuty — i gdy przyszło do głosowania, przyjęto projekt jednomyślnie.

Wyniki pracy Komisyi spotkamy zapewne z czasem w liczbie artykułów księgi praw.

Przeglądając pracę Figuera (*Histoire du merveilleux*) niepodobna zachować spokoju, nie wzdrygać się co chwila wobec opisu: histeryczek, opętanych, czarownic, proroków... a szczególnie wobec sędziów, ktorzy badali te zjawiska i przychodzili do niezłomnego przekonania, że np. pewną Urszulinkę szatan skusił do grzechu z sobą. Zresztą ona sama dawała szczegółowy opis

postaci Asmodeusza, który ją odwiedzał... Byli i naoczni świadkowie.

Albo znowu, jak się podoba dzisiejszemu myślicielowi taki obrazek: Opętana kładzie się na wznak „bracia pomocnicy“ uderzają ją drągami dopóty po brzuchu, aż się zmęczą, ona wciąż woła: mocniej, mocniej! Od kilkunastu takich uderzeń w ścianę, mur się rozpadł i rozkruszył, a opętane nie doznawały szwanku. Czyż to nie cud?! Niestety, była to choroba tylko. Na szczęście, wszelkie te choroby i cuda stały się zabytkami historyj; Cagliostro występuje już pod inną barwą: czarodzieja, magika, szarlatana, co chcecie, w każdym razie nie przyznaje się do wspólnictwa z szatanem — a gdy wreszcie zginął w więzieniu, zdawało się, że czasy cudów i czarów minęły. Złudzenie, pójdź dziś do wioski, a dowiesz się, że ten spotkał szatana, ów borykał się z nim, inny wskaże ci czarownicę, co go urzekła itp.

Okrzesany mieszczuch żartuje z ciemnego tłumu, a jednak rad opowiada, jak mu ukazała się nieboszczka matka i rzekła: Nie pij, synku, czwartego kufelka piwa, bo cię głowa zaboli. Światły publicysta uśmiecha się z tej przestrogi nieboszczki, poskrob jednak mózg jego, a wnet pod cienką warstwą badań i wiedzy, narzuconych mu z zewnątrz i nie przesiąkłych do głębi, ujrzysz przekonania tłumu, gotowe uznać, że Cagliostro wynalazł nową siłę, zdolną do dźwigania stołów — i tylko stołów, a nie pudełek.

Pewien kmieć, opowiadając o swym sąsiedzie, tak mówił:

— Nie zły to człowiek i po domowemu wcale nie głupi, ot cała bieda — pisać umie. Widzisz, dobrodzieju, u niego bywają rozmaite fantazye. Naprzykład jemu się niekiedy wydaje, że jest rozumniejszym od wszystkich, że gdyby zechciał, mógłby uczyć wszelkich rzemiosł i kowalskiego i szewckiego i kuglarstwa. Póki przechwala się przed sąsiadami, nie wielka bieda, pożartujemy i tyle; ale ponieważ umie pisać, więc zdania swoje posyła w listach do innych parafij; teraz cały powiat żartuje z naszego mądrala, więc i nam wstyd.

Mniemałbym, że i w sprawie z Eusapią cała bieda, że świadkowie jej cudów pisać umieją. Za sto lat historyk, przetrząsając stare szpargały, natrafi na tegoroczne zeszyty *Kraju*, przeczyta artykuły p. Prusa o Eusapii i powie: Jakaż to jeszcze u tych polaków była ciemnota, skoro ich światlejsi przedstawiciele pisali takie banialuki!

Siła *duchowa* porusza stoły, a pudełka przenieść nie może, podług bowiem zdania p. Bolesława Prusa, jabłoń rodzi jabłka, a małej porzeczki nie może wydać. Dodajmy: Słoń wydaje słonia, a publicysty nie może urodzić. Gdzie tu logika? Jakąż styczność z Eusapią mają prawa życia organicznego, owszem, jeżeli żadna jabłoń nie może wydać porzeczki, więc i moc Eusapii może działać tylko zgodnie z prawami duszy ludzkiej. Postawmy kwestyę inaczej. Elektryczność łacniej biegnie po pręcie żelaznym, niż po drewnianym, a jeżeli pręty będą małe, czy się prawa naruszą? Nie. Machina, która dźwiga tysiąc pudów, czy dźwignie ćwierć funta? Bezwątpienia. Być może Eusapia i jej zwolennicy mają na myśli formę przedmiotu, niech tedy przeniosą pudełko, mające kształt maluczkiego stolika. Dla czego posiadają moc tylko nad przedmiotem pewnej miary? Dla czego wreszcie cudotwórczyni nie zaprzęże duchów do innej pracy, korzystniejszej?

Zresztą, gdyby nie było świadków, którzy widzieli, jak szatan przez ścianę wpadał do celi mniszki, gdyby nie było świadków, co widzieli jak Eusapia wyzywała duchy, Figuer i inni badacze nie mieliby czego studyować, a uczeni nie biadaliby nad ciemnotą XVI, XVII... XIX w. itd.

Jeszcze słowo: W ostatnich kilku zeszytach *Kraju* dostrzegliśmy zjawisko i innej natury. Redakcya z pewnego p. M., od którego społeczeństwu prędzej zimno, niż ciepło, stworzyła sobie bożka: Przyjechał, wyjechał, dał trzy grosze, pokłócił się, pobił, trafił do kozy etc. etc.

Zgiń, przepadnij taka publicystyko!

N. B.

PAMIĘTNIK.

Figle zimy.

Tegoroczna zima płata nieustanne figle meteorologom i wogóle ludziom, badającym jej prawidłowość a jednocześnie sprawia wielką uciechę reporterom, tym najszczęśliwszym z ptaków niebieskich. W końcu stycznia i na początku lutego przedzierzgnęła się w wiosnę i rozkuła z kajdan lodowych rzeki, a teraz, kiedy złudzone jej podstępami nadzieje zaczęły spodziewać się ciepła, zsyła coraz mocniejsze mrozy. No i sprobuj biedny człowieku określić, co to jest nasza zima i w jakich ona przypada miesiącach! Powiesz, że zaczyna się w listopadzie lub grudniu? Nieprawda, bo ona czasem zaczyna się w październiku lub marcu. Powiesz, że podczas jej trwania pada śnieg? Nieprawda, bo czasem leje deszcz z grzmotami i błyskawicami. Powiesz, że temperatura schodzi niżej zera? Nieprawda, bo czasem podnosi się w lutym do 10 stopni ciepła. Kaprysy wszystkich niewiast są trudne do ujęcia w jakieś reguły, ale chyba ta jest najgrymaśniejsza. Wszystko to dokucza rolnikom, ogrodnikom, wreszcie ludziom, opierającym swe życie na jakimkolwiek rachunku prawdopodobieństwa, tylko nie reporterom, żyjącym ze zmian. Trzeba ich widzieć podczas wylewu Wisły: jak oni stoją „na stanowiskach,“ jak co chwila posyłają swe depesze do *Kuryerów*, jak z radosnym uśmiechem spoglądają na podnoszący się poziom wody i przerwane tamy, jak uważnie wpatrują się w płynące przedmioty, ażeby dojrzeć coś, co może przypominać słynną „kołyskę z dzieckiem,“ jak wreszcie smutnie spuszczają głowy, gdy przybór zacznie się zmniejszać. Jeden wylew Wisły da im dużo zadowolenia i kopiejek, a cóż dopiero dwa! Otóż obecna zima przygotowywa im drugą tego rodzaju ucztę, gdyż znowu zamrozi rzeki, które już roztajały. Wprawdzie utrzymują oni, że jedna dobra powódź więcej dla nich warta, niż dwie liche, trzeba wszakże uszanować tę sprawiedliwość zimy, pragnącej wyrównać dochody i przyjemność tylu jej dziejopisom. Gdyby Wisła po rozpuszczeniu lutowem już nie stanęła, reporterzy uważaliby takie spokojne, jednorazowe ruszenie jej lodów za czyn tak marny i niegodny królowej rzek naszych, że władze komunikacyi wodnej powinny go stanowczo i raz na zawsze zakazać. Reporterzy nie są wcale zadowoleni z regulacyi Wisły i ujmowanie jej w mocne karby, ale już jeżeli ten gwałt ma być dokonany, niechże ona przynajmniej będzie zmuszona tak wylewać, ażeby reporter — jak to się zdarzyło przed paru laty — mógł jeździć wozem po „rwących jej falach“ i skręcać go wraz z pływającymi końmi na głębokich miejscach.

Ceny zboża.

Dotychczas nie wiadomo, czy i o ile traktat handlowy niemiecko-ruski wpłynie na podwyżkę cen zboża naszego. Chociaż bowiem projekt tego układu przyjęła już Rada związkowa, a parlament prawdopodobnie nań się zgodzi, ceny te dźwignęły się bardzo nieznacznie (pszenica około 5,30, żyto — 3,30). Rozumie się, nie zależą one jedynie od warunków przechodzenia zboża przez granicę niemiecką, ale także od zapasów towaru i od stanu urodzajów. Zapasy są niewątpliwie wszędzie znaczne, ale zasiewy nie wszędzie zapowiadają się dobrze. Awanturnicza zima wywarła na nie tu i owdzie wpływ ujemny. Zwłaszcza podobno Ameryka nie obiecuje sobie obfitych plonów, o czem już nawet zawiadomiła Europę. Mimo to wszystko nie należy się spodziewać szybkiej i znacznej podwyżki cen, a głównie, zdaniem naszem, z tego względu, że stosunki handlowe rynku wszechświatowego są wielce zwichrzone, nie mogą się ułożyć według żadnej trwalszej normy i ciągle liczyć się muszą z niespodziankami. Tak np. nagłe wydobycie się na wierzch prądów protekcyjnych we Francyi sprowadziło nowy zamęt i sparaliżowało zwyżkowy ruch na zboże, które ma także podledz większemu ocleniu. Dziś żaden kupiec nie może obliczać na dłuższy przeciąg czasu i musi stosować się do chwilowego układu warunków, żaden nie zasypia z pewną nadzieją, a każdy budzi się do nieprzewidzianej wiadomości. Te ciągłe burze oddziaływają paraliżująco na tak czułą organizacyę, jaką jest handel.

Pojedynek amerykański.

Ten najgłupszy z rodzajów rozprawy „honorowej“ odznacza się tem, że wcale nie jest używany w Ameryce i że w Europie ma zwolenników prawie wyłącznie między niedojrzałą a zbyt zapaloną młodzieżą. Ten barbaryzm obyczajowy, przypominający naiwne postępowanie chińczyków, którzy chcąc się zemścić na nieprzyjaciołach, rozpruwają brzuchy *sobie*, zabrał znowu u nas jedną ofiarę w zeszłym tygodniu. Trudno wrzącym uczuciom młodości nadawać bieg spokojny, opinia publiczna jednak może oddziaływać na ich kierunek. Otóż ta opinia powinna przy każdej sposobności przypominać, że t. zw. pojedynek amerykański został już dawno wygnany z obyczajów przez rozsądek amerykanów, że on nigdzie, nawet śród ludzi pragnących utrzymać starcie orężne jako uprawniony trybunał dla zatargów honorowych, nie znajduje uznania, że jest to szaleństwo serc niewątpliwie czystych i gorących, ale wzburzonych przez umysły niedojrzałe. Niech wreszcie tkwi w cywilizacyi, kiedy inaczej być nie może, stary zwyczaj obrony honoru zapomocą pistoletów lub pałaszów, ale już owe samobójstwa, dokonywane z losu, powinny przestać kalać nasze życie krwawemi plamami. Można pojąć człowieka, którego niedola tak przycisnęła, że on woli uciec przed nią do grobu, ale jeżeli dwaj młodzieńcy, kochający jedną pannę, losują, który z nich ma sobie roztrzaskać głowę lub poderżnąć gardło, i jeżeli nieszczęśliwy w tem ciągnieniu zabija się nie z chęci, lecz z przymusu, to doprawdy zakrawa na grubą lekkomyślność. Wogóle nie rozumiemy, czemu współzawodnicy w miłości uciekają się do tak okropnych sądów i tragicznych wyroków, kiedy mają najodpowiedniejszy trybunał dla spraw w samym przedmiocie swych uczuć — w kochanej kobiecie. Niech ona wybiera, którego z nich uszczęśliwić. A jeżeli obu chciałaby w swem sercu zachować? Niech się w niem sadowią obaj.

Wyjaśnienie!

P. A. Łaszczyński, odpowiedzialny redaktor *Kuryera świątecznego*, zamieścił w *Kuryerze codz.* wyjaśnienie, dla czego zawiesił owo pismo. A więc dlatego, że 1) p. Pląskowski w końcu października r. z. rozpoczął proces o sprzedaż *Kuryera św.* przez publiczną licytacyę i wyrok oraz termin uzyskał; że 2) po zniesieniu tej decyzyi sądu p. Ł. je zawiesił. Czy wy, czytelnicy rozumiecie, dlaczego p. Ł. to uczynił? My — niewiele. Autor wyjaśnienia bowiem pomija w niem najważniejszy punkt, mianowicie, skąd p. Pląskowskiemu przyszła myśl i skąd uzyskał prawo żądania publi-

cznej sprzedaży pisma i nałożenia na nie sekwestru? Przecież gdyby on z podobną pretensyą wystąpił np. względem *Prawdy*, z pewnością nie wystawiłby jej na licytacyę, nie uzyskał wyroku sądowego, nie nałożył sekwestru, a my nie bylibyśmy „zmuszeni“ zawieszać naszego tygodnika. Widocznie zatem p. Pląskowski miał jakieś prawa do *Kuryera świąt.*, które sąd uznał, których p. Ł. uznać nie chciał, i wolał raczej zamknąć pismo, niż zadość uczynić wymaganiom swego spólnika. Zresztą niepotrzebne są nam w tej sprawie żadne przypuszczenia i domysły. Dla znających stosunki wydawniczo-dziennikarskie kwestya przedstawia się jasno: pp. P. i Ł. zawarli między sobą, pisaną czy ustną, spółkę tego rodzaju, że pierwszy był rzeczywistym redaktorem i wydawcą *Kuryera*, drugi zaś tylko posiadaczem koncesyi, pierwszy za swą pracę literacką i administracyjną otrzymywał jakąś część dochodu, drugi resztę. Dopóki między spólnikami panowała harmonia, p. P. siedział przy warsztacie pod cudzą firmą, a p. Ł. za tę firmę pobierał wynagrodzenie. Gdy zgoda się naruszyła, redaktor formalny cofnął rzeczywistemu swój podpis i pozbawił go możności pracy. Stąd proces. Nie wchodzimy w rozpoznanie wzajemnych pretensyj i nie określamy stopnia ich słuszności, gdyż nie znamy szczegółów zatargu. Zdaje nam się jednak, że on bez niebezpieczeństwa dla którejkolwiek strony mógłby być rozstrzygnięty przez sąd polubowny, przedstawiający dostateczną rękojmię sprawiedliwości dla obu. Dzienniki donoszą, że na mocy rozporządzenia Głównego Zarządu prasy, *Kuryer świąteczny* zacznie wychodzić wskrzeszony pod odpowiedzialną redakcyą księgarza, p. Paprockiego. Może też i spór wejdzie na właściwą drogę. Co do samego wydawnictwa, chociaż nie stanowi ono poważnego czynnika naszej umysłowości, wszakże jako organ chętnie czytany i rozlewający strumienie swojskiego humoru, wytworzył sobie racyę bytu, która kazałaby nam żałować jego straty.

Bukiecik.

Nasze pisma codzienne, właśnie najpoczytniejsze i najlepiej zabezpieczone pod względem materyalnym, obfitują niekiedy w takie kwiatki, że doprawdy trudno oprzeć się czasem chęci zerwania bukietu... niewiadomości. (Od pewnego czasu również *Wędrowiec* usiłuje przeszczepić te roślinki na grunt czasopism tygodniowych). Kilka przykładów — a naprzód z polityki. Pomiędzy Francyą a Anglią nastąpiło porozumienie co do wzajemnego stosunku na półwyspie indochińskim. Zgodzono się ustanowić pomiędzy sferą wpływów francuskich a angielskich pas neutralny, rodzaj klina terytoryalnego — w języku angielskim *buffer*, po francusku *tampon*. Otóż tłomacze wiadomości politycznych czynią z obu tych zwykłych rzeczowników imiona własne. Przez dni kilka słyszeliśmy zatem o państwie Buffer lub o państwie — Tampon! Wreszcie, chociaż nie wiem dla jakich przyczyn, może dla tego, że częściej korzystamy ze źródeł francuskich, wzięła stanowczą górę nazwa francuska i odtąd już w błogim spokoju ducha mówimy o nowopowstającem „państwie — Tampon...“ Inny przypadek podobnej ścisłości. Serbia wprowadziła na swojem pograniczu osobny dodatkowy grosz od przedmiotów przywożonych, niezależnie od cła. Owa dodatkowa opłata używa tam nazwy *obrt.* Ktoś jednak, nie mogąc sobie dać rady z tym nieszczęsnym wyrazem w niemieckich źródłach, uznał za winę zecera stojące w środku *r* i zamienił je na *s*. A zatem w ciągu przeszło miesiąca dopóty, dopóki ciągnęły się układy w tej sprawie pomiędzy Austryą a Serbią, w telegramach najpoczytniejszego dziennika czytaliśmy wiadomość o opłacie celnej od — owoców (Obst). Podobnie kiedy po raz pierwszy w izbie francuskiej pojawiła się partya pojednanych z rzeczpospolitą monarchistów, tak zwanych *ralliés*, zaraz ukazała się wiadomość, donosząca o czynach pana Rallios. Wyłowiliśmy kilka okazów, które powtarzały się w łamach niejednego dziennika i nie w jednym numerze. A przecież dział polityczny jest stosunkowo lepiej, niż inne, obsadzonym, ma przynajmniej stałych, od lat wielu zajmujących się nim pracowników. Cóż dopiero dzieje się w innych rubrykach! Czasami, wprost dla żartu, przeglądamy wiadomości etnograficzne, umieszczane przez jeden z dzienników w postaci luźnych artykułów. Są to zwykle streszczenia zagranicznych rozprawek, ale tłomacz umie włożyć tyle swojego, że nasz glob ziemski i panujące na nim stosunki przybierają dziwną postać. *W.*

Jak się piszą sprawozdania?

Literat, szukający w gazetach materyału surowego do swoich wniosków i dowodzeń w artykułach publicystycznych, doznaje często zawodu, a nawet w błąd bywa wprowadzany i jeżeli z całem zaufaniem na szczegółach dziennikarskich buduje swoją pracę samodzielną, może wielce się omylić. W Warszawie ześrodkowały się wszelkie objawy życia nietylko miejscowego, ale i prowincyalnego. Tak np. Oddział Tow. rusk. przem. i han. ogarnia różne odłamy przemysłu (rolny, rzemieślniczy, chemiczny), Towarzystwa kredytowe miejskie i ziemskie wykazują położenie materyalne znacznej części mieszkańców, instytucye sportowe i filantropijne są miarą ruchu towarzyskiego i i miłosierdzia. Dla myślącego publicysty jest to bogaty materyał, ale jeśli on czerpie go z dzienników, dostaje okruchy małej lub wątpliwej wartości. Bo jakże się piszą sprawozdania z wszelkich posiedzeń? Reporter, pędzany na wszystkie strony miasta, wpada do sali obrad i łapie to, co mu najwięcej i najszybciej dostarcza wierszy. Notuje więc skwapliwie nazwiska osób, wybranych do czynności chwilowej, np. do obliczenia głosów, opisuje temperaturę sali, liczbę osób, zaznacza godzinę rozpoczęcia i zakończenia posiedzeń, nie pominie najdrobniejszego szczegółu, kto był „trzymającym pióro,“ kto brał udział w prezydyum, chociażby nic nie mówił, jaki numer porządku dziennego był przestawiony (np. pierwej 5, potem 4-ty) itd. Słowem, wszystko się znajdzie, z wyjątkiem spraw najważniejszych, bo te najtrudniej notować. Czasem wprost bywają pomijane najżywotniejsze kwestye, jak np. jeden ze sprawozdawców pisząc o ostatnich obradach sekcyi rolnej, zupełnie zamilczał o rozprawach nad stanem dróg kołowych w Królestwie. Wynikło to zapewne nie z niedbalstwa przedstawiciela redakcyi, lecz stąd, że będąc generalnym sprawozdawcą, może musiał być jednocześnie na innem posiedzeniu, więc przyszedłszy na drugie, nie pyta, co było, lecz rznie od punktu zasłyszanego przedmiotu. Dopiero ten, kto nie dowierzając takiemu materyałowi, sam czerpie go bezpośrednio z życia, tj. uczęszcza na posiedzenia — przekonywa się, ile jest braków w tych pośpiesznych referatach, ile nieraz bzdurstw gorszących. Przed dwoma miesiącami taki sprawozdawca przypisał rajcom sekcyi rolnej wnioski nietylko wprost fałszywe, ale niezgodne z potrzebami ogółu ziemian, którzy ,powyższej instytucyi swoje interesy powierzają. Na tych danych jeden z poważniejszych publicystów oparł wywody, nic mające nic wspólnego z istotnym stanem rzeczy. Referent dziennikarski ma na swoje usprawiedliwienie okoliczności łagodzące. Posyłają go np. na odczyt treści literackiej lub przyrodniczej albo na posiedzenie chemików. Idzie, biedak, chociaż o chemii, naukach przyrodzonych i literaturze ma takie pojęcie, jak o chińskim języku; pisze, przekręca imiona, nazwy i cały przedmiot, każe żyć umarłym i umierać żyjącym; przyrodnikom lub ekonomistom wkłada w usta takie twierdzenia, które ich wprost ośmieszają. Przyczyną tego w znacznej mierze jest chęć popisania się dziennika ze sprawnością wobec czytelników. Sprawozdanie musi być natychmiast; mniejsza o treść jego! Taki pośpiech wytłomaczony jest w Ameryce, gdzie dziennik stał się pośrednikiem przemysłowo-handlowym i gdzie zatem jedna godzina spóźnienia z wiadomością częstokroć bardzo wiele znaczy. Niech naszym referentom, gdy przedmiot jest ważny, wolno będzie opracować go sumiennie i podać o dzień później. W ten sposób sprawozdanie zyska na wartości, a czytelnik nie weźmie za złe krótkiego spóźnienia. Niechaj wreszcie redakcye do rzeczy specyalnych używają specyalistów i znawców przedmiotu. *P.*

Obrazy niknące.

P. Lenoir od kilkunastu dni bawi publiczność warszawską szeregiem obrazów niknących, między którymi sporo jest efektownych i ładnych widoków, łudząco zbliżonych do naturalnych. Szkoda, że tego przedmiotu, wyzyskiwanego przez przybysza-przedsiębiorcę, nikt u nas nie zużytkował do przystępnych wykładów publicznych. Za parę tygodni w tej samej sali, gdzie się usadowił p. Lenoir, będą wygłoszone odczyty popularne, w których między innymi wezmą udział pp. dr. O. Bujwid, Boguski, dr. Palmirski, M. Flaum, E. Jankowski i Umiński. Z nazwisk można wnosić, iż to będą prelekcye przeważnie przyrodnicze, do których właśnie nadawałyby się ilustracye w formie niknących obrazów. Miałyby one jeszcze tę zaletę, że obok rozjaśniania i utrwalania przedmiotu w umysłach średnio lub elementarnie wykształconych, stanowiłyby wielką przynętę dla słuchaczów. Przy tej sposobności pozwolimy zwrócić uwagę pana objaśniającego obrazy, że się nie mówi po polsku dwa z *połową* i że za taki błąd, kilkakrotnie co wieczór powtarzany, uczniowie nawet szkółek elementarnych dostaliby co najmniej jedynkę rzymską. *Zn.*

Towarzystwo wioślarskie.

W zeszłą sobotę na dorocznem zebraniu członków tej instytucyi dowiedzieliśmy się o rezultatach jej gospodarki. Sprawozdanie wykazuje przyrost uczestników (o 94) i — dochodu (o 1232 rs.). Zaznacza także rozwój życia towarzyskiego i ćwiczeń sportowych. W rubrykach wydatków, zaprojektowanych na rok bież., godnem jest uwagi spora sumka na prenumeratę pism: 150 rs. Rozrywki towarzyskie wzbogacono stolikami zielonymi. Interesowani upewniają, iż „sport“ ten prowadzony jest w „granicach umiarkowanych“ i trwa tylko do... 2-ej lub 3-ej w nocy. Może to przedniejszy gatunek „zła koniecznego,“ lepiej bowiem spędzić kilka godzin przy kartach *w domu* (boć przecie lokal Towarzystwa, to dom ich członków), niżeli w knajpie przy kufelku. Sprawozdanie, wyliczając dodatnie objawy życia klubowego, wskazuje także ujemne, mianowicie — uchylanie się członków od dyżurów na przystaniach. Szkoda tylko, że zarząd nie zbadał dostatecznie przyczyny tego zaniedbywania się. Oznaczenie rodzaju zajęcia przy liście członków aż nadto przekonywa, że nie mają oni zbyt dużo czasu po za obowiązkami swymi. Pomimo to, okres dyżurów trwa od 1-ej do 6-ej po południu i od 6-ej do 2-ej w nocy. Dlaczego nie ustanowiono czterech zmian? Jest wszystkich członków 645, w tej liczbie znalazłaby się garść takich, którzy chętnie poświęciliby nie 6—8, lecz 3—4 godziny na czuwanie w honorowej służbie Towarzystwa. Do nowego zarządu większością głosów nadal powołano na prezesa hr. K. Branickiego. *p.*

W DALI.

Otwarte pole. Wystawa pszczelnicza, urządzona zeszłej jesieni w Petersburgu, dała całokształt (chociaż w niewyraźnym zarysie) tej gospodarki w całem państwie. Otóż przeważnie prowadzona jest pierwotnie; pasieki wzorowe należą do wyjątków. Jest ich kilka w Królestwie w posiadaniu osób pojedynczych; jaki atoli przynoszą one dochód właścicielom, o tem nie mamy jasnego pojęcia. To tylko pewna, że miód, wosk i wszelkie z nich przetwory gdzieindziej wpłynęły na rozwój wielkich gałęzi przemysłu, zatrudniającego tysiące rąk; że u nas rozwinęło się piernikarstwo i miodosytnictwo, a kto się do tego wziął rzetelnie, robi dobre interesy. Miód i wosk jest ogromnie poszukiwany, o czem świadczą dość wysokie ceny tych produktów. W gub. mińskiej lud, pielęgnujący pszczoły w barciach i w ulach pierwotnych, czyli kłodach, w wielu miejscach ciągnie wcale niezły zysk z tej gałęzi przedsiębiorstwa. Przemysł przetwórczy, oparty na pszczelnictwie, nie może jednak rozwinąć się w takich rozmiarach, jak za granicą, gdyż po prostu brak do tego materyału. Skupowanie miodu i wosku po drobnych pasiekach, rozsianych w kraju, przedstawia tyle trudności i kosztów, że wobec tego nie znajdzie się żaden śmiałek, któryby się odważył budować zakłady fabryczne.

Pierwszy krok racyonalny dopiero w chwili bieżącej widzimy. Pp. Wacław Kownacki, Jan Pausch, Michał Szypowski i panie: Ewelina Krajewska i Wiktorya Wojnowa zawiązali spółkę dla założenia wielkiej „pasieki handlowej“ w gub. radomskiej w pobliżu lasów gór Świętokrzyzkich. Przedsiębiorstwo to przy pomocy kapitału 30,000 rs. powstanie jeszcze w roku bieżącym. Smutne losy różnych, świetnie zapowiadających się spółek tak nas przesyciły niedowierzaniem, że i teraz, pomimo iż stowarzyszenie zawiązano wedle wszelkich formalności prawnych i ze znacznym funduszem — nie chcemy przeceniać tego faktu. Biorąc go takim, jakim jest, widzimy objaw pomyślny, chociażby z tego tylko względu, że na zaniedbaną i doryweczo prowadzoną gałąź zwrócono u nas uwagę i uczyniono krok naprzód pod hasłem pracy gromadnej. Jeżeli spółka wytrwa w zgodzie (wątpliwości zachodzą jeszcze z tego względu, że oprócz *skich* są kobiety — żywioł wielce burzliwy), jeżeli rozwinie swe zadanie należycie, wtedy niewątpliwie stanie się bodźcem dla innych.

Ale do prawidłowych podstaw pszczelnictwa brak u nas jeszcze wielu ważnych cegiełek; przedewszystkiem — szkół właściwych i podręczników w literaturze specyalnej. Mamy jedynie naukę praktyczną w Warszawie, a i ta od czasu do czasu chroma. Wielka pasieka spółkowa, to byłby najodpowiedniejszy grunt i miejsce dla wzorowej szkoły. Co do podręczników dla samouków, mamy ich dotąd niewiele. Niedawno w opracowaniu p. K. Prószyńskiego ukazał się „Ul gospodarski,“ ułożony przez specyalistę, p. Kazimierza Lewickiego. Wykład jest obliczony na czytelników mało rozwiniętych umysłowo, tem bardziej więc zasługuje na rozpowszechnienie. Oprócz jasnych wskazówek dla pszczelarzy, jest w tej książce także dział poświęcony miodosytnictwu. Autor dzieli na trzy rodzaje miejscowości, zdatne do zakładania pasiek: gorsze, średnie i najlepsze. W pierwszej można utrzymywać 10—20 rojów, w drugiej 20—30, w trzeciej 30—60. Rozumie się, iż podział ten zrobiony jest stosownie do mniejszej lub większej obfitości roślin miododajnych. Kraj nasz pod tym względem wielce jest uposażony przez naturę. Najużyteczniejsze np. na wiosnę wierzby, leszczyna, klony, jawory, a na łąkach łotacz, czyli kaczyniec; dalej — topole, lipy, kasztany, drzewa morwowo, dęby i krzewy owocowe, dziko rosnące i szczepione po sadach, wreszcie jagody po lasach i polach, kwiaty. Nadto, rolnictwo dostarcza również dużo materyału pszczołom: biała i szwedzka koniczyna, gryka, rzepaki letnie, wyka, seradela, esparceta i inne rośliny pastewne. Ku jesieni kwitną pospolite i bogate u nas wrzosy; prócz tego, różne zioła i liście drzew wydzielają również miód. Słowem, mamy nieprzebrane bogactwo, które należy tylko umiejętnie wyzyskać, a przekonamy się, że pszczelnictwo, stosunkowo przy niewielkich nakładach i zabiegach, dać może znaczne dochody.

Jak wiadomo, władze ministeryalne starają się wprowadzić wykłady ogrodnictwa w szkołach ludowych. Przydałoby się również wzbogacenie programu pszczelnictwem, tem bardziej, że gdzie przy szkółkach będą wzorowe sady, tam nie trudno parę ulów utrzymać dla nauki praktycznej. U nas do owego działu gospodarki najbardziej się garną kobiety, może dlatego, że pszczelnictwo, obok swej formy ponętnej, nie jest uciążliwe i harmonizuje z naturą niewieścią. Gdy pasieki, oparte na odpowiedniej technice tudzież pracy i środkach gromadnych, rozszerzą się w kraju, wówczas pszczelarki znajdą zajęcie korzystne i nierujnujące zdrowia.

Drogomir.

Radom. Słynne jarmarki skaryszewskie w ostatnich latach straciły dużo ze swej dawnej świetności. Dziś przybyły tam ziemianin nie tak głośny i hojny. Tegoroczne targowisko na bydło i konie nie odznaczało się ani bogactwem, ani ożywieniem. Na rynku były: konie „obywatelskie,“ bryczkowe i powozowe, których hodowla, zdaniem korespondenta *Gazety radomskiej*, co rok się polepsza. „Każdy z obywateli okolicznych stara się przez odpowiedni dobór klaczy i ogierów nietylko stajnię swoją polepszyć, ale wielu z nich przyprowadza konie na sprzedaż wartości 150—300 rs. za sztukę.“ Nie są one wszakże zdatne do artyleryi, gdyż mają niezbyt rozwinięte mięśnie. Szkoda, bo na potrzeby wojska gatunek odpowiedni usilnie jest poszukiwany. Włościanie przyprowadzają konie fornalskie i pociągowe. Uczestnicy jarmarku skarżą się na szkodliwe pomieszczenia dla koni. Nie ma nawet placu odpowiedniego do oceny towaru. — W nocy z d. 12 na 13 b. m. kilkunastu rabusiów, uzbrojonych w noże i pałki, napadło na plebanię w Ćmielowie. Ks. Rokicki skutkiem związania, pobicia i pokaleczenia nożami, jest niebezpiecznie chory, jego kuzynka, 70-letnia staruszka, zabita. Opryszki zabrali 3,800 rs. Po gwarze poznano żydów w bandzie. — Po długiej przerwie Radom znowu ma przedstawienia teatralne towarzystwa wędrownego pod kierunkiem p. Mareckiego.

Grodno. Przemysłowcy i fabrykanci miasta Różany wysyłają do ministeryum komunikacyi deputowanych z prośbą, aby punktem połączenia nowej drogi szosowej Baranowicze-Białystok była stacya Wyłkowyszki, a nie projektowany Słonim. Podanie oparte jest na tem, że m. Różany, mając znaczne stosunki z Białymstokiem, cierpi bardzo z braku odpowiedniej drogi bitej.

Wilno. W miejscowem Towarzystwie cyklistów biorą udział wszyscy wybitniejsi przedstawiciele inteligencyi. Pierwsze atoli roczne sprawozdanie tej instytucyi wcale nie świadczy o jej rozwoju. Początkowo zapisało się 125 członków, obecnie pozostało tylko 88. Dochodu było 1,366, wydatków — tyleż (pozostało w kasie 20 k.). — Miejscowy dom pracy wkrótce będzie przekształcony: powstanie przy nim ochronka dla dzieci, pozbawionych dozoru podczas zajęcia rodziców po za domem. Przytułkowi powyższemu przybędzie kilka warsztatów i pracowni. Na takie rozszerzenie zakładu ministeryum skarbu udzieli funduszu w postaci pożyczki długoterminowej i bezprocentowej, miasto zaś ma podobno dać grunt bezinteresownie.

Moskwa. Wielki zjazd artystyczny oczekiwany jest w tygodniu przedświątecznym. Uczestniczyć w nim będą artyści, mecenasi, tudzież wogóle miłośnicy sztuki. Dzień, w którym się zgromadzą literaci, muzycy, malarze, rzeźbiarze, aktorzy, nazywają obchodem „święta sztuki.“ Na dzień 4 maja oczekiwany jest ogromny zjazd inteligencyi ruskiej tudzież gości zagranicznych, szczególnie z Francyi. Uroczystość przypadnie jednocześnie z zabawami ludowemi.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE ŚWIATA RZEMIEŚLNICZEGO.

Kobiety w cechach. — Zachwyt reporterów.—Pobudki niedopatrzone. — Uczelnie fachowe u nas i w Belgii. — System wyzwolinowy. — Pod adresem sekcyi rzemieślniczej. — Taniec w zaklętem kole. — Ustąpienie p. A. Makowieckiego. — Stała wystawa prób i wzorów.

Rezultaty ostatniego posiedzenia sekcyi rzemieślniczej wyrobiły dla niej uznanie i zachwyt, szczególnie sprawozdawców prasy codziennej. Stał się istotnie fakt niezwykły — dopuszczono kobiety do zgromadzeń cechowych. Dla ułatwienia roztrząsania tej ważnej sprawy, przewodniczący, p. Aleksander Makowiecki, podzielił ją na cztery pytania zasadnicze: Czy oprócz cechu krawieckiego był kiedykolwiek w Warszawie wypadek należenia kobiety samodzielnie, jako majstra do cechu? Czy takie żądania do starszych cechowych były wnoszone? Czy byłby pożyteczny dla zgromadzenia udział kobiet w cechach? Czy byłoby pożądane dla kobiet należenie do zgromadzeń? Ustawa z r. 1816 nic w tym przedmiocie nie mówi; jest tylko wzmianka o wdowach po majstrach, które mogły nadal prowadzić warsztat. Ale ponieważ dopuszczenie kobiet do cechu wcale się nie sprzeciwia ustawie, więc po przeprowadzeniu pewnych formalności sprawę można będzie uważać za załatwioną. Już dziś weszła ona na drogę faktyczną. Kilka kandydatek wniosło podanie o prawo złożenia egzaminu przed urzędem starszych. W chwili, gdy to piszemy, jedna z nich wywiązała się już pomyślnie z tej próby, inne będą w tych dniach egzaminowane. Nadto, urząd starszych zgromadzenia krawieckiego wypracował plan statutu dla kobiet rzemieślniczek.

Zobaczmy, jakie są przyczyny, a raczej ich rąbek, oświetlony przez reformatorów na gruncie zebrań sekcyjnych. W ostatnich czasach wzrosły ogromnie szeregi pracownic z patentami licznych szkół kroju. Szukają one zajęcia nietylko tutaj, ale nawet po za granicami Królestwa Polskiego. Otóż urzędy rzemieślnicze z Cesarstwa zwróciły się do magistratu warszawskiego o jaśniejsze określenie uzdolnień, wyłuszczonych w takich patentach. To jest jedna z widocznych pobudek wysunięcia tej sprawy na porządek dzienny. Jednocześnie wypowiedziano mnóstwo uwag na temat fuszerki i niesumienności nauki w szkołach kroju. Nawet ktoś oblicza (nie wiem, z jakich źródeł) ilość spraw, wytoczonych szwaczkom za zepsucie roboty. Nasze szkoły kroju, których się namnożyła moc wielka w Warszawie, istotnie dużo pozostawiają do życzenia. Większość z nich, to zwyczajne przedsiębiorstwa, oparte na możliwie największem wyciągnięciu produkcyjności pracy „uczenic.“ Gorzej w tak zwanych „pracowniach,“ gdzie również niby nauka istnieje. Są to t. zw. próby uzdolnienia, które właścicielkom przedsiębiorstw pozwalają korzystać z bezpłatnej pracy. „Wypróbowane“ pobierają wynagrodzenie różne: za 10, 12, 14 godzin roboty, stałe, dobre szwaczki pobierają 20—30 rs. miesięcznie. Ale to są niezmiernie rzadkie

fakty. Zwykła płaca 14—20 rs., mniej zaś zdolne pobierają 8—12 rs., podręczne 3—7 rs., dziewczynki małe 1—2 rs. miesięcznie. Najzwyczajniejsza płaca szwaczki stałej wynosi 8, 10, 12 rs. miesięcznie z życiem podczas roboty. W takich właśnie zakładach większość pracownic otrzymuje „wykształcenie fachowe.“ Tylko dostatniejsze, które marzą o założeniu własnych przedsiębiorstw lub o posadach kierowniczek, uczą się kroju i wszelkich specyalności krawieckich w owych szkołach prywatnych.

Za granicą, szczególnie w Belgii, nauka krawiecka ma swoją organizacyę szkolną. istnieją tam dwie wybitne szkoły krawiectwa w Brukselli i Liège. Pierwsza założona przez izbę syndykalną brukselskich majstrów krawieckich (1880 r.), ma na celu walkę z przedsiębiorstwem ubrań gotowych i — podnoszenie tą drogą wartości pracy rękodzielniczej. Magazyny ubrań gotowych przyjmują robotę maszynową niedokładną; robotnicy zaś z miernem uzdolnieniem łatwo znajdują zarobek za liche wynagrodzenie. Tym sposobem rosło partactwo, a z niem — liczba niezdolnych robotników. Takie warunki pod wpływem szkoły brukselskiej w ostatnich czasach zmieniły się na lepsze. Zrazu miała ona wiele trudności do zwalczenia: nieufność majstrów, niechęć robotników, upatrujących w uczniach niebezpiecznych dla siebie współzawodników. Dziś zakład cieszy się ogromnem powodzeniem i poparciem. Zaletą fachowych szkół belgijskich jest to, iż z nauką specyalną łączą one kurs elementarny zasadniczy i mogą przyjmować uczniów bez żadnego przygotowania. Grupa szkół zawodowych żeńskich ma tam na celu: zapobieganie długiemu i uciążliwemu terminowaniu dziewcząt po pracowniach, danie możności zarobkowania pracą lepiej wynagradzaną, wreszcie — kształcenie ich w zawodach, które można w domu rodzinnym uprawiać. W program tych szkół wchodzą: krawieczczyzna, szycie bielizny, krawaciarstwo, malarstwo, buchhalterya, hafciarstwo, wreszcie przedmioty zasadnicze, ogólnie kształcące. Nadto, kobiety belgijskie mają szkoły gospodarskie, gdzie również igła w program wchodzi: szycie ręczne i maszynowe, roboty drutowe. Po za tem pranie, prasowanie, gotowanie, pielęgnowanie chorych. Kandydatki ubogie otrzymują naukę bezpłatnie *).

U nas obecnie poruszona sprawa pracownic krawieckich nic nie mówi o szkolnej organizacyi nauki fachowej. Kandydatki będą egzaminowane i otrzymają przywilej należenia do cechu—terminowania w sposób uprawiany względem mężczyzn. To będzie *szkoła*; czy lepsza od dzisiejszej metody nauczania? Praktyka wykazała, że w obecnym systemie wyzwolinowym ostateczne wypróbowywanie uzdolnień nie zawsze bywa rzetelne, a świadectwa nie odpowiadają istotnemu stopniowi przysposobienia do pracy; nie ma zatem najmniejszej racyi przypuszczać, że poziom wykształcenia zawodowego kobiet przez to się podniesie. Ten sam bowiem probierz, co do terminatorów, będzie i do pracownic zastosowany.

Jeżeli wnikniemy głębiej w pobudki gościnności majstrów dla kobiet w gospodzie cechowej, to ze smutkiem będziemy musieli rozwiać gorący zachwyt paru pism codziennych, rozpisujących się w szeregu komunałów o emancypacyi kobiet. Siły niewieście w rzemiośle cechowem, między innemi i w krawieczczyźnie, faktycznie działają oddawna. Wszelkie drobniejsze wykończenia, wymagające dużo cierpliwości i czasu, poruczane są szwaczkom; one bowiem za nierównie niższą zapłatę, niż mężczyźni, rzetelnie wykonają robotę. Po przygarnięciu tej siły, skromnie ukrytej, do cechu, majstrowie zyskają na korzystnych warunkach szeregi pracownic i w ten sposób będą mogli wprowadzić znaczną oszczędność do swych warsztatów. Sam fakt przyjęcia kobiet do korporacyj jest ważnym, ale nie przeceniajmy tego, dopóki ona swej strupieszałej formy nie porzuci. Cechy mogłyby przynieść pożytek rzemieślnikom, gdyby wprowadziły zmiany, zgodne z warunkami i potrzebami dzisiejszemi. Bez tego „nowy ustrój“ (tak p. Ig. Ch. w *Kuryerze warsz.* nazywa przyjęcie szwaczek do cechu) nie zapewni kobiecie pomocy w czasie choroby, nie podtrzyma materyalnie w razie istotnej potrzeby, nie da „osłony siły korporacyjnej w każdym wypadku, w którym pracownica sama sobie zaradzić nie mogła.“ Śród członków sekcyi rzemieślniczej i jej zarządu są ludzie zdolni, szerzej patrzący na sprawy bytu. Skoro więc kwestya kobiety-pracownicy weszła na porządek dzienny, niechże oni nie pozwolą iść jej ciasną dróżką przez rutynę wyżłobioną; niech nie poprzestając na regulaminie dla „majstrzyń“ i „podmajstrzyń,“ sformułują potrzeby szkolnictwa fachowego dla kobiet i przedstawią właściwej władzy, która, jak wiadomo, z góry zapowiedziała swą pomoc prywatnym zabiegom około tworzenia nowych szkół specyalnych. Taką tylko drogą można na razie w pewnej części złagodzić „zło konieczne,“ tj. podnieść wartość pracy kobiecej z korzyścią dla obu płci.

Do wszelkich reform w korporacyjnych urządzeniach rzemieślników, dziś najbardziej się nadarza sposobność wobec nastroju krytycznego śród przedstawicieli sekcyi i po za nią. Na jednem z posiedzeń tegorocznych poruszono sprawę ześrodkowania steru cechów, złożonego z poważnych reprezentantów rzemiosła. Nie jest to rzecz nowa, gdyż ten sam szczegół omawiano już przed laty kilku podczas tak zwanej ankiety i opracowywania planu ustawy. Mamy ją pod ręką, wypisany zaś na tym projekcie r. 1886 smutne robi wrażenie. Upłynęło od tej chwili lat osiem, włożono dużo pracy, a rezultatów dotąd niema żadnych. „Czy ustawa rzemieślnicza z r. 1816 odpowiada teraźniejszym potrzebom rzemieślników? coby z niej usunąć wypadło? lub jakie zmiany zaprowadzić?“ Takie pytania uczyniono na czele programu ówczesnej ankiety. Dziś owoce tej pracy są tylko przeżuwane, ale z pewnem zainteresowaniem, które, póki gorąco, kuć należy, bo znowu lat 8—10 upłynie, aż ktoś wykopie z pyłu foliały projektów, wniosków i zacznie je odgrzewać na posiedzeniach po to, żeby przez uczestników czy prezydyum skosztowane, nadal zakrzepły. Niech nareszcie rzemieślnicy raz wybrną po za to koło zaczarowane. Prawda, można ich pocieszyć, że nietylko oni posiadają tę cechę znamienną — wirowania na niewielkiej przestrzeni. Mieliśmy także w sekcyi rolnej parę przykładów ciągłego odświeżania starych rzeczy i podawania ich za nowe, co często się udaje dzięki krótkiej pamięci.

Przy tej sposobności zaznaczyć musimy, że sekcyi rzemieślniczej ubywa wytrwały i pracowity jej kierownik, p. A. Makowiecki; ustępuje skutkiem wyczerpania i znużenia. Jego to właśnie owocem zabiegów i pracy osobistej w znacznej części była owa ankieta i projekt ustawy. Nowe zaś ożywienie obrad sekcyi i wprowadzanie na porządek dzienny spraw żywotnych rozpoczęło się pod jego kierunkiem. Tem smutniej, że w takiej chwili p. Makowiecki musi się wycofać z ważnych obowiązków. O energicznych, wytrwałych i taktownych przewodników nie jest łatwo.

Chcąc się dowiedzieć, na jakim szczeblu rozwoju stoi wystawa prób i wzorów, poszedłem w tych dniach na zebranie jej uczestników i przedewszystkiem wyniosłem to przekonanie, że owa maszynerya tutejszych rzemieślników i średnich przemysłowców porusza się bardzo powoli. Członków ogółem jest tylko 111, w ciągu roku ubyło ośmiu, przybyło zaledwie jedenastu. Całą zaś wyraźną działalnością zarządu wystawy jest drukowanie i rozsyłanie katalogów. W ciągu roku rozdano ich 14 tysięcy egzemplarzy (4 tys. w Warszawie, 10 tys. w Cesarstwie). W roku bieżącym liczba ta urośnie do 20, na przyszłość do 40 tysięcy egzemplarzy. Jest to środek reklamy, oby skuteczny! Zarząd wystawy obecnie odświeża swe siły, wciąga do siebie przemysł maszynowy, wełniany i bawełniany. Przy tej sposobności nasuwa się nam jedna uwaga: Widzieliśmy katalogi pewnej firmy ruskiej w postaci sporych książek, które na podobieństwo zielników zawierają ponaklejane wszelkie próbki tkanin. Każdy może z daleka wybrać przedmiot wedle gustu i gatunku. Naturalnie jest to reklama kosztowna, ale skuteczna, bo łatwo wpadająca w oko. Otóż ci przedsiębiorcy, którzy chcą szukać rynków zbytu w Cesarstwie za pośrednictwem swojej wystawy, niech spróbują tego sposobu. Dotychczas poglądowo mogą się obeznać z towarem w Muzeum tylko osoby przejezdne z Cesarstwa. Ta zaś kategorya zwiedzających zbiory prób i wzorów, stanowi niewielką gromadkę (jak wykazuje odczytane sprawozdanie). Ogółem zwiedziło wystawę w ciągu roku 8,745 osób — cyfra dość skromna. Zresztą niewiększe zainteresowanie okazują sami przedsiębiorcy, dla których ową instytucyę stworzono. Bierze udział w wystawie przeszło setka, na posiedzenia przybywa osób dwadzieścia kilka. Dla kogo więc i po co ta wystawa istnieje? Jedno tylko można przypuścić: że jej pożytecznych zadań jeszcze nie potrafił ocenić świat przemysłowo-rzemieślniczy i że mało dotąd użyto środków przekonywających i przyciągających.

Niedawno poruszono projekt utworzenia przy warsz. oddz. Tow. pop. rusk. przem. i handlu sekcyi handlowej, która mogłaby oddać niezmiernie ważne usługi, między innemi także wystawie powyższej. W tych dniach zapytałem jednego z wtajemniczonych (członka zarządu wystawy stałej), kiedy ten projekt przyjdzie do skutku? — „Wtedy — odrzekł — gdy przełamiemy trudność zwołania przedstawicieli przemysłu i rzemiosł na obrady w tym przedmiocie.“ Reporter zawołałby: *Tableau!* My zostawiamy czytelnikowi dośpiewanie sensu.

Zen. Piet.

*) O wzorowych, godnych uwagi szkołach belgijskich pisałem obszernie w pracy osobnej p. t. „Wykształcenie fachowe w życiu ekonomicznem.“ Warszawa, 1892.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia pisze w korespondencyi z Warszawy:

„Od początku roku bieżącego pozwolono p. Zonnerowi wydawać w Łodzi *Łodzinskij Listok*. P. Zonner ma pieniądze, że zaś do wydawnictwa przystąpił po porozumieniu się z miejscowymi bogaczami, przeto przyszłość tej gazetki możemy uważać za zapewnioną. *Łodzinskij Listok* ma zadanie dwojakie. Naprzód dowieść lojalności przemysłowców łódzkich dla sprawy ruskiej, a następnie — wykazać potrzeby i bronić interesów przemysłu łódzkiego. P. Biełow, który przed $1\frac{1}{2}$ rokiem miał odczyt w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu w Petersburgu o Łodzi i Sosnowicach, nieco się zapędził w twierdzeniu, że fabrykanci łódzcy niemcy, wbrew dążeniom majstrów fabrycznych i fabrykantów sosnowickich, wyrzekli się raz na zawsze zachcianek germanizacyjnych i uprzedzają wymagania państwowe, ale niewątpliwą jest rzeczą, że pośród fabrykantów łódzkich jest stronnictwo ruskie, które powstało pod wpływem jednoczącej polityki z ostatnich lat dziesięciu. *Łodzinskij Listok* jest właśnie organem tego stronnictwa i z treści tego organu można będzie sądzić o dążeniach i szczerości jego stronnictwa. Z tego punktu widzenia *Łodzinskij Listok*

będzie bardzo zajmującem wydawnictwem; że jednak jest poświęcony wyłącznie interesom łódzkim i pozostaje w ręku niemieckiem, przeto nie może zaspokoić pilnej już potrzeby posiadania prywatnej gazety ruskiej, takiej, która mogłaby pośród rosyan współzawodniczyć z *Kuryerkami*."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Opracowywane są obecnie nowe przepisy dla kandydatów do posad sądowych. Każdy chcący dostać się na posadę etatową, obowiązany będzie praktykować: a) w ciągu sześciu miesięcy pod kierunkiem członka sądu przy wydziale cywilnym; b) w ciągu sześciu miesięcy przy jednym z przedstawicieli urzędu prokuratorskiego; c) najmniej rok przy jednym z sędziów śledczych i d) rok przy danej izbie sądowej. Po tej praktyce dopiero kandydat poddawany będzie egzaminowi osobnej komisyi.

— W gub. warszawskiej w ciągu r. z. odebrano ogółem od osób, nie posiadających pozwolenia, 432 sztuk strzelb, rewolwerów i pistoletów. Nadto, właścicieli skazano na kary pieniężne lub areszt.

— Z 20-tu nowych posad podprokuratorów sądów okręgowych, utworzono 5 w okręgu warszawskim (w Kielcach, Kaliszu, Łomży, Piotrkowie i Siedlcach).

— Fundusz żelazny warszawskiego Towarzystwa głuchoniemych wzrósł r. z. o 238 rs.

Szkoły. W warszawskiej szkole dentystycznej ukończono egzaminy, do których stanęło 81 osób.

— P. Leopold Kronenberg ofiarował rs. 20,000 na dwa stydendya przy internacie Instytutu inżenierów komunikacyi dla studentów wyznania katolickiego.

— Ostatecznie postanowiono przenieść szkoły handlowe z pod władzy ministeryum oświaty pod opiekę ministeryum skarbu. (*Nowosti*).

— Władza ministeryalna zaleciła, ażeby na egzaminach dojrzałości nie zadawać uczniom w liczbie prac piśmiennych — zadań geometrycznych konstrukcyjnych, gdyż te wymagają wielkiej znajomości metod a rozwiązanie ich zajmuje zbyt dużo czasu.

— Pp. Zofia Dębowska i Kazimiera Glasmanowa wystąpiły z podaniem o koncesyę na zakład w Warszawie, poświęcony wyłącznie nauce gotowania i różnych zajęć gospodarstwa kobiecego.

Wystawy i zjazdy. Termin składania deklaracyi na wystawę międzynarodową w Antwerpii przedłużono do 1 marca. Ceny miejsc są bardzo wysokie, z tego powodu zarząd zaleca wystawcom, szczególnie rolnikom, łączyć się w stowarzyszenia.

Zmarli. Hans Bülow w Kairze, słynny muzyk. Ur. r. 1830. Studya fortepianowe ukończył r. 1853 u Liszta w Wejmarze. R. 1855 objął posadę profesora w berlińskiem konserwatoryum Sterna, potem otrzymał tytuł królewsko-pruskiego pianisty nadwornego. R. 1864 powołano go do Monachium na kapelmistrza dworskiego i dyrektora szkoły muzycznej. Osiadłszy we Florencyi, pracował nad spopularyzowaniem we Włoszech muzyki wagnerowskiej. R. 1877 został kapelmistrzem dworskim w Hanowerze, r. 1880 intendentem kapeli książęcej w Meiningen. Komponował mało, ale znakomicie opracowywał dzieła mistrzów. Oprócz muzycznego, posiadał wyższe wykształcenie w zakresie prawa i nauk filozoficznych (w Jenie uzyskał tytuł doktora filozofii).

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. K. Zwyczaj uprawnił obie formy.

R. Według nas dość grzeczne, a w każdym razie nie możemy dopatrzeć obrazy.

L. Ś. Obrazek bardzo dobry, ale właściwy byłby do odcinka w jakiemś piśmie brukowem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Февраля 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.